Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 2. Listopada 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 40.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

STEMPEL PRASOWY.

Zapewne mało kto z czytelników zwrócił uwagę, na niewielkiego dwugłowego orzełka, który czarną lub czerwoną maścią odbity znajduje się na pierwszej stronie każdego dziennika, każdego pisma tygodniowego.

Otóż odbicie takiego stempla na każdym numerze kosztuje centa, który wpływa do kasy rządowej.

Powiedzieliśmy wyżej, że każde pismo perjodyczne ozdobione jest takim stemplem. Twierdzenie, to nie jest ścisłem. Dzienniki rządowe jak np. „Gazeta Lwowska" są wolne od płacenia tego podatku, jak w ogóle otaczane są one szczególną opieką i traktowane nie na równi z innemi pismami.

Otóż od bardzo dawnego czasu przeciw temu stemplowi objawia się silna opozycja ludzi stojących po stronie swobody słowa. Sprawa ta tuła się po Rajchsracie i po dziennikach, lecz zawsze dotąd kończyła się na tak „charakterystycznie nazwanem *zabagnieniu*... Robiono wnioski przekazywano komisjom, a potem gdzieś cała sprawa znikała jak ów rycerz z ballady, który przez noc zapadł się wraz z swym zamkiem, i znaleziono tylko na dzień drugi bezdenne bagno.

Pamiętać należy, że większość naszych reprezentantów stale oświadczała się przeciw zniesieniu tego na prasę nałożonego kagańca.

Obecnie, już na samym początku sesji nowego Rajchsratu, morawski poseł Fandrlik wniósł ponownie o zniesienie stempla; przedstawił przytem tę sprawę jako nie mającą finansowej natury, jako małoważną w ogólnej ekonomji państwa, ale natomiast jako sprawę mającą charakter czysto policyjno-prasowy. Zapatrywanie słuszne i według naszego zdania najzupełniej, z prawdą zgodne.

Sprawa stempla została przekazana znowu komisji, która się ma nad nią zastanowić.

Dzienniki przebąkują, iż polscy deputowani mają się znów przeciw projektowanej zmianie oświadczyć, lecz ponieważ wzmianki o tem znajdujemy w nieprzychylnych nam organach niemieckich, więc jeszcze temu wierzyć nie możemy, a przedewszystkiem wierzyć nie chcemy.

Biorąc rzecz ze stanowiska zasadniczego, ze stanowiska ludzi pragnących swobody słowa, stempel jest rzeczą szkodliwą, tamującą rozwój prasy, jest podatkiem powstrzymującym szerzenie oświaty, nałożonym na to, co powinno być popieranem, nie zaś ciężarami przygniatanem.

Dzisiaj nie masz człowieka cywilizowanego, któryby nie czytał dzienników. Każdy czuje potrzebę poznania spraw, kraj jego i ludzkość obchodzących, chce brać udział w walkach umysłowych, które się staczają na szerszej arenie świata, chce być jednem słowem człowiekiem, pamiętając o słowach: *Homo sum, et nil humani a me alienum puto.* Zarówno bogaci jak i biedni biorą w tem udział. Dla czegoż tym ostatnim kazać płacić drożej, za to, ze chcą być ludźmi, że ich obchodzi to, co jest ludzkiem. Robotnikowi, utrzymującemu rodzinę, zaledwie starczyć może na jej wyżywienie i te kilka reńskich rocznie, które dopłaca, stanowią dlań znaczną różnicę.

Lecz najbardziej uczuwają ucisk stempla, same dzienniki niezawisłe. Stempel stanowi dzienną rubrykę 20, 30 i więcej złotych reńskich a w naszych warunkach, gdzie niestety tak mało jeszcze jest czytających, stanowi to ciężar przygniatający, który tem boleśniej się odczuwać daje, że organa rządowe, organa które zawisłe są w każdem swem zdaniu od chwilowego nastroju rządu, które tak pisać muszą, jak im każą, są wolne od tego stempla, a oprócz tego mają jeszcze liczne dochody z inseratów przymusowych. Z takiem faworyzowaniem konkurencja jest bardzo trudną, szczególniej w naszych warunkach, gdzie dzienniki nie cieszą się wielką liczbą prenumeratorów i gdzie ich wydawnictwo ze stanowiska finansowego zwykle bywa ze stratami połączone.

W obec tak biednej prasy, stempel staje się wielce skuteczną bronią przeciw niepodległym organom.

Lecz po za większymi dziennikami politycznymi jest jeszcze jeden rodzaj prasy, który najwięcej na tem cierpi a słuszność i cywilizacja wymagają, żeby właśnie jak najbardziej był popieranym. Są to pisma dla ludu, których wydawnictwo z powodu stempla, jest po prostu prawie uniemożebnionem.

Szkoły wiejskie dostarczają co roku zwiększający się znacznie kontyngens ludzi umiejących czytać i posiadających jakie takie początkowe wykształcenie. Ludzie ci są później obywatelami kraju i w stanowieniu o losach jego mają głos uprawniony. Swobody konstytucyjne doprowadziły do tego stanu. Otóż ten, który przychodzi do urny wyborczej, który w gminie ma głos stanowczy, powinien być, choćby ogólnikowo o tem co się na świecie dzieje zawiadomiony. W krajach dalej na Zachód położonych, mnóstwo pism na ten cel przeznaczonych rozchodzi się po zagrodach wiejskich. U nas istnieje kilka pisemek, ale pojawiających się w znacznych odstępach czasu i prawie żadnego wpływu nie posiadających.

Takie pisma dla ludu powinny być przedewszystkiem tanie. Tam cent na numerze stanowi ogromną różnicę, tak wielką, że jest największą przyczyną, dla czego się u nas nie rozwijają organa dla wieśniaków przeznaczone.

W tym wypadku stempel jest podatkiem skutecznie rozwój oświaty ludowej wstrzymującym i jako taki istnieć na dłużej nie powinien.

Nasi panowie delegaci w Wiedniu, powinni o tem pamiętać i nie stawać oporem sprawie, która pierwiej czy później zwyciężyć musi. Czyż wiecznie w obec świata manifestować się mamy jako bojownicy wstecznictwa przeciw postępowi, ciemności przeciw światłu! Dziwne tam zagnieździły się poglądy w umysłach niektórych naszych posłów. Słyszeliśmy przecież jednego z nich,

publicznie mówiącego tu we Lwowie, że kształćmy w chłopu przedewszystkiem serce a dopiero potem uczmy go czytać i pisać, jakby głowa i serce kształciły się w inny sposób, jakby oświata nie popychała człowieka do szlachetniejszych uczuć, jakby nauka stawała dobremu sercu na przeszkodzie!

Nie! kalumniom dzienników niemieckich i tym razem wierzyć nie chcemy. Delegacja głosować będzie za zniesieniem stempla. Posunęliśmy się przecież o kilka lat naprzód, oświata ludu i swoboda prasy nie powinny nas już przestraszać, delegacja odświeżyła się nowemi wyborami, lud okazał się lepiej usposobionym.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

SZKICE WĘGLEM.

LITWOSA.

I.

W którym zabieramy znajomość z bohaterami i zaczynamy się spodziewać że coś więcej nastąpi.

We wsi Barania-Głowa, w kancelarji wójta gminy, cicho było jak makiem zasiał. Wójt gminy, niemłody już włościanin, nazwiskiem Franciszek Burak, siedział przy stole i z natężoną uwagą gryzmolił coś na papierze; pisarz zaś gminy, młody i pełen nadziei pan Zolzikiewicz, stał pod oknem i opędzał się od much.

Much było w kancelarji jak w oborze. Wszystkie ściany, popstrzone od nich, straciły swój dawny kolor. Również popstrzone było szkło na obrazie wiszącym nad stołem, papier, pieczęcie, krucyfiks i urzędowe księgi wójtowskie. Muchy łaziły i po wójcie, tak jakby po jakim zwyczajnym ławniku, ale szczególniej nęciła je wypomadowana, woniejąca goździkami, głowa pana Zołzikiewicza... Nad tą głową unosił się ich cały rój; siadały na rozdziale włosów, tworząc żywe, ruchome, czarne plamy. Pan Zołzikiewicz podnosił od czasu do czasu ostrożnie rękę, a potem spuszczał ją nagle; dawał się słyszeć plask dłoni o głowę, rój wzbijał się brzęcząc w powietrze, a pan Zołzikiewicz schyliwszy czuprynę, wybierał palcami trupy z włosów i zrzucał je na ziemię. Godzina była czwarta po południu, w całej wiosce panowała cisza, bo ludzie wyszli na robotę; za oknem tylko kancelarji czochała się o ścianę krowa, i od czasu do czasu ukazywała przez okno sapiące nozdrza, ze śliną wiszącą u pyska. Czasem zarzucała ciężki łeb na grzbiet, broniąc się od much, przyczem rogiem zawadzała o ścianę. Wówczas pan Zołzikiewicz wyglądał przez okno i wołał:

— A hej. Ażeby cię...

Potem przeglądał się w lusterku, wiszącym tuż koło okna, i poprawiał włosy.

Nakoniec przerwał milczenie wójt.

—Panie Zołzikiewicz— rzekł z mazurska niech jus pan napisze ten rapurt, bo mi jakoś nieskładno. Przecie je pisarz.

Ale pan Zołzikiewicz był w złym humorze, a jak tylko był w złym humorze, wójt musiał sam wszystko robić. — To i cóż żem pisarz?—odparł z lekceważeniem. — Pisarz jest od tego, żeby pisywał do naczelnika i do komisarza; a do wójta, takiego jak wy, to wy sobie sami piszecie. — Potem dodał z majestatyczną pogardą.— Albo to dla mnie wójt, to co? Chłop i basta! Zrób chłopa czem chcesz... a chłop zawsze będzie chłopem.

Potem poprawił włosy i znów spojrzał w lusterko.

Wójt jednak czuł się dotkniętym i odrzekł:

—Patrzcie-no się! A niby to ja z komisarzem nie piłem arbaty?

— Wielka mi rzecz herbata? — odparł niedbale Zołzikiewicz. — A może jeszcze bez araku?

— A nie prawda bo z harakiem.

— To niech będzie z arakiem, a ja dla tego raportu nie będę pisał.

Wójt ozwał się gniewliwie:

— Kiejś pan taki delikatny fizyk, to czemu było prosić się na pisarza?

— A was się kto prosił. Ja tylko po znajomości z naczelnikiem...

— Wielga znajomość, a jak tu przyjedzie to pan ani pary z gęby...

— Burak! Burak! ostrzegam, że wy jakoś nadto rozpuszczacie język. Mnie już wasze chłopy kością w gardle stoją, razem z waszem pisarstwem. Człowiek z edukacją tylko między wami ordynarnieje. Jak się rozgniewam, tak rzucę pisarstwo i was do djabła.

— Ba! i cóż pan będzie robił?

— Co? Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa? Człowiek z edukacją da sobie rady. Już wy się o człowieka z edukacją nie bójcie. Jeszcze wczoraj rewizor Stolbiecki do mnie powiada; „Ej ty Zołzikiewiczu z ciebie byłby czort nie podrewizor, bo ty wiesz jak trawa rośnie“. Powiedzcie głupiemu. Mnie plunąć na wasze pisarstwo. Człowiek z edukacją...

— O wa! to się jeszcze świat nie skończy.

—Swiat się nie skończy, ale wy będziecie kwacza w maźnicy maczać i kwaczem w księgach pisać. Będzie wam ciepło, aż przez aksamit drąg poczujecie.

Wójt począł się drapać w głowę.

— Kiej bo pan, to zara na zadnie nogi.

— A to nie rozpuszczajcie gęby.

— Jušci bo jušci.

I znowu nastała cisza, tylko pióro wójtowskie zwolna skrzypiało na papierze.

Nakoniec wójt wyprostował się, obtarł pióro o sukmanę i rzekł:

— A no! z pomocą Bożą skończyłem.

— Przeczytajcież coście nagwazdali.

— Co miałem tu gwazdać. Wypisałem akuratnie wszyćko co potrzeba.

— Przeczytajcie, mówię.

Wójt wziął papier w obie ręce i zaczął czytać:

„Do wójta gminy Wrzeciądza. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen! Naczelnik kozał, żeby spisy wojskowe były dycht po Matce Bozkiej, a tu u waju mentryki w parafii u Dobrodzieja i też nasze chłopaki chodzą do waju na bandosę, rozumita, żeby były wypisane i bandośniki też przysłać przed matką Boską, jak skończone ośmnaście lat, bo jak tego nie uczynita, to dostanieta po łbie czego sobie i wam życzę, amen.“

Poczciwy wójt co niedziela słyszał, jak proboszcz kończył w ten sposób kazanie, zakończenie więc takie zdawało mu się równie koniecznem, jak i odpowiadającem wszelkim wymaganiom przyzwoitego stylu — a tymczasem Zołzikiewicz zaczął się śmiać.

— To tak? — spytał.

— A to niech pan napisze lepiej.

— Pewno, że napiszę, bo mi wstyd za całą Baranią-Głowę.

To rzekłszy, Zołzikiewicz siadł, wziął pióro w rękę, zatoczył nim kilka kół, jakby dla nabrania rozpędu, i począł szybko pisać.

Wkrótce zawiadomienie było gotowe; wówczas autor poprawił włosy i czytał, co następuje:

„Wójt gminy Barania-Głowa, do wójta gminy Wrzeciądza!

„Tak jak spisy wojskowe, z polecenia władzy wyższej mają być gotowe na dzień ten i ten, roku tego a tego—tak zawiadamia się wójta gminy Wrzeciądza, ażeby metryki włościan Baraniogłowskich nachodzące się w kancelarji parafialnej, z takowej kancelarji wyjął i do gminy Barania-Głowa w samym skorym czasie nadesłał. Włościan zaś gminy Barania-Głowa znajdujących się na robociznie we Wrzeciądzy, na tenże dzień przystawi“. Wójt chciwem uchem łowił te dźwięki, a twarz jego wyrażała przejęcie się i niemal religijne skupienie ducha. Jakże to wszystko wydało mu się pięknem, uroczystem, jak na wskróś urzędowem. Oto, naprzykład, choćby ten początek: „Tak jak opisy wojskowe etc.“ Wójt uwielbiał to: „Tak jak,“ ale się go wyuczyć nigdy nie mógł, a raczej zacząć wprawdzie umiał, ale dalej, ani rusz! A u Zołzikiewicza płynęło to jak woda — że nawet w kancelarji w powiecie lepiej nie pisali. Potem tylko ukopcić pieczątkę, kropnąć nią o papier, ażeby stół trzasnął i ot co!

— No jużci co głowa to głowa — rzekł wójt.

— Ba — rzekł udobruchany Zołzikiewicz — przecież pisarz, to jest ten co książki pisze.

— A to pan i książki pisze!

— Pytacie, jakbyście nie wiedzieli, a księgi kancelaryjne któż pisze?

— Prawda — rzekł wójt.

I po chwili dodał:

— Spisy pójdą piorunem.

— Wy oto patrzcie, żeby się pozbyć ze wsi ladaców.

— Bogaś ich się tam pozbędzie!

— A ja mówię, że naczelnik skarżył się że w Baraniej-Głowie lud niedobry. Wciąż powiada, piją. Burak, powiada ludzi nie pilnuje, więc się też na nim skrupi.

— Ba! dyć ja wiem — odrzekł wójt — że się wszyćko na mnie krupi. Jak Rozalka Komalicha zlegla, sąd kazał jej dać dwadzieścia pięć, dlatego tylko, żeby na drugi raz pamiętała, że to (powiada) dziewce nie ładne. Kto kazał? Ja? — Nie ja ino sąd. A mnie do tego co? Niechto sobie i wszystkie zlegną. Sąd karał a potem na mnie.

W tem miejscu z łoskotem krowa uderzyła o ścianę, że aż się kancelarja zatrzęsła. Wójt zawołał głosem pełnym goryczy.

— A hej! żeby cię wciornaści.

Pisarz, który przez ten czas siadł na stole, począł znów przeglądać się w lusterku.

— Dobrze wam tak — rzekł — czemu się niepilnujecie. Z tem piciem będzie tak samo. Jedna parszywa owca wszystkim dowodzi i ściąga do karczmy? Pewnikiem, że niewiadomo, a co do picia: jenszy się też potrzebuje napić, jak się napracuje w polu.

— A ja wam mówię tylko to, jednego Rzepy się pozbyć i wszystko będzie dobrze.

— Coże mu ta łeb urwę?

— Łba mu nie urwiecie, ale teraz spisy wojskowe. Ot zapisać by go w listę, niechby pociągnął los i basta.

— Toć że on żonaty i chłopaka ma już rocznego.

— A ktoby tam wiedział. Onby na skargę nie poszedł; a poszedłby, toby go i niechcieli słuchać. W czasie branki nikt niema czasu.

— Oj panie pisarzu! panie pisarzu! musi panu nie o pijaństwo chodzi, ino o Rzepowę, a to tylo obraza Boska.

— A wam co do tego. Wy patrzcie ot, że i wasz syn ma dziewiętnaście lat — i że także musi losować.

— Wiem ci ja o tem, ale ja jego nie dam.

— Jak nie będzie można inaczej, to i wykupię.

— O! kiedyście taki bogacz...

— Ma tam Pan Bóg u mnie trochę koprowiny, nie wiela tego jest, ale może i wstrzyma.

— Ośmset rubli koprowiny będziecie płacić.

— A kiej powiadam, że zapłacę, to choć i koprowiną zapłacę — a potem, byle Pan Bóg pozwolił zostać wójtem, to przy Jego najświętszej pomocy, może mi się to ta w jakie dwa roki powrócić.

— Powróci się, albo i nie powróci. Ja też potrzebuję i wszystkiego wam nie oddam. Człowiek z edukacją zawsze ma większe wydatki niż drugi prosty: a jakbyśmy Rzepę zapisali na miejsce waszego syna, to i dla was byłaby oszczędność... osiemset rubli na drodze nie znaleźć. (C. d. d.)

POGADANKI

O różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych.

1. Pogadanka wstępna.

Zdarzało Ci się zapewne nieraz Szanowny Czytelniku, słyszeć, a może nawet samemu występować z tego rodzaju uwagami, że np. ten lub ów kierunek myślenia nie ma w sobie nic narodowego, że to zdanie zgadza się z duchem narodowym, a tamto jest mu wręcz przeciwne, że pewne zapatrywanie się na rzecz jest nam obce, i dla tego zgoła dla nas nieprzydatne, a nawet zgubne i t. d. i t. d.... Otóż pozwól, że się Ciebie zapytam, czyś się zastanowił kiedy poważnie nad znaczeniem tych zarzutów? czyś się starał zdać sobie sprawę z tego, co rozumieć potrzeba przez to wyrażenie *duch narodowy?* jakie to są cechy, podług których możnaby poznać i ocenić, o ile pewna myśl lub uczucie, pewne zdanie lub przekonanie jest narodowem albo niem nie jest? Zgodzisz się ze mną, że jakkolwiek to pytanie wydać Ci się może zrazu natrętnem, zasługuje ono przecież na głębsze zastanowienie się choćby dla tego, by się uchronić od zbyt pospiesznych, a lekkomyślnych wyroków w rzeczach, o których mamy zaledwie niejasne pojęcie. Zresztą porozumienie się z tobą szanowny czytelniku, pod tym względem potrzebnem jest dla mnie samego, gdyż niepłonną mam obawę, że i moje pogadanki spotkać się będą musiały z zarzutem, że są nienarodowe dla tego, że w tej lub owej sprawie wypadnie mi powiedzieć coś takiego, co będzie przeciwnem powszechnie ustalonemu mniemaniu, że tu i ówdzie wystąpię wręcz przeciwko temu, co ktoś w najgłębszem swem przeświadczeniu uważa za narodowe. Wyznajmy bowiem szczerze i otwarcie, że w swych wyrokach o tem, co jest narodowe, a co niem nie jest, kierujemy się najczęściej, nie jakąś zasadą wyrozumowaną, ale prostem widzi mi się, zaprawionem nie rzadko złym humorem, że punktem wyjścia dla tych wyroków są nie ogólne pojęcia, treścią swą wiążące się z życiem narodu, ale indywidualne każdego wyobrażenia i zapatrywania się, nie raz tak ciasne, jak głowy, w których się wylęgły, tak obce narodowym potrzebom i dążnościom, jak wszystkie te koterje i sekciarstwa, od których zostały zapożyczone.

Że w tem, co powiadam, nie masz najmniejszej przesady, przyzna to każdy, kto zechce się rozpatrzeć w tej iście babilońskiej sprzeczności zdań i zapatrywań się, z jaką na każdym kroku spotykamy się, gdy idzie o wydanie sądu o jakiejś rzeczy, która swą treścią lub dążnością silnie odbija od tła powszedniego życia, gdzie każdy odrabia swą pańszczyznę podług ustalonej rutyny. Weźmy dla przykładu chociażby dzieła Lelewela. Imię Lelewela jest tak silnie sprzągnięte z narodowemi dziejami bieżącego okresu, tak silnie skojarzone z naszemi uczuciami, myślami i dążnościami, że jeżeli kto, to on, zdaje się, jak najmniej mógłby podlegać zarzutowi, że w dziełach jego pokutuje duch obcy, wygłaszający nauki, które są przeciwne narodowym zasadom! Komuż to bowiem głównie zawdzięczamy, jeżeli nie jemu, że zrozumiawszy naszą przeszłość, poznawszy przyczyny naszych nieszczęść, zaczynamy przychodzić powoli do przekonania, że czas nam zrzucić „te płachty ohydne, tę Dejaniry palącą koszulę, utkaną z zastarzałych nałogów i z przesądów światło ćmiących!“ Tymczasem posłuchajmy, co o nim piszą i mówią taki p. Szujski, albo ks. Podolski, albo pierwszy lepszy amator złotego pasa i czerwonego kontusza. Dla p. Szujskiego Lelewel nie jest pisarzem narodowym, ponieważ do badań historycznych wprowadził metodę analityczną, która jest dobrą dla Niemców, ale nie dla nas, mających swą własną—syntetyczną. Dla ks. Podolskiego „et consortes“, Lelewel nie jest pisarzem narodowym, ponieważ w dziełach swych ma na oku przedewszystkiem interes narodu i broni go energicznie przeciwko wszelkim uroszczeniom rzymskiej kurji i posłusznego jej krajowego duchowieństwa. Dla kontuszowców naszych wszelkiego rodzaju, Lelewel nie jest pisarzem narodowym, ponieważ przesadza na grunt ojczysty niwelacyjną zasadę francuskiej demokracji, wręcz przeciwną naszej przeszłości.

Podobnych temu przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele. Zdaje mi się wszakże, że ten jeden wystarczy dla okazania, jak dalece niepewne i sprzeczne są nasze zdania o tem, co ma być uważanem za narodowe, a co za obce, jak są rozstrzelone wszelkie w tej rzeczy mniemania, jak dalece wchodzą tu w grę różnorodne dążności i stronnicze widoki, niemające często nic wspólnego z narodowem życiem.

Chcę wierzyć, że nieuprzedzony czytelnik zgodzi się ze mną, że tej powszechnej niepewności względem tego, co mamy uważać za swoje, a co za obce, nie inaczej można zaradzić, jak przez ostateczne porozumienie się, postawienie pewnej i niezachwianej, na rozumnych podstawach opartej zasady, któraby w każdym danym wypadku mogła nas oświecić, co mamy wziąć, a co odrzucić, co może nam pójść na zdrowie, a co przyprawić o chorobę.

Jakto? — zawoła może kto, zgorszony podobnem twierdzeniem: — czy takiej zasady nie mamy? Więc naród nasz, który ma za sobą tysiącletnią przeszłość, pełną zasług i sławy, który wśród największych nieszczęść, w ciągłej, codziennej walce o byt z wrogiemi sobie żywiołami umie się utrzymać na swem narodowem stanowisku, oprzeć wszelkim pokusom i niebezpieczne dla siebie prądy odgadnąć uczuciem — naród taki miałby do dziś dnia żyć bez przewodniej zasady, nie wiedzieć, co pochodzi z jego ducha, a co jest obcem, zapożyczonem, miałby dziś dopiero uczyć się, co ma uważać za swoje, a co za obce?!... Ale to jest obrazą narodowej godności! Twierdzić bowiem coś podobnego, jest to jedno, co utrzymywać, że naród nasz albo dotąd nie wyrobił jeszcze, albo już stracił poczucie swej indywidualności, że przestał być sobą, pozostał być organicznym osobnikiem, i jest obecnie niczem więcej, jak prostym aglomeratem, którego części utrzymują się w skupieniu nie siłą wewnętrznego powinowactwa, ale siłą zewnętrznego ciśnienia.

Gdyby się znalazł jaki czytelnik, któryby podobne wnioski wyprowadził z założenia niniejszej pogadanki, dałby on tem tylko dowód, że nie zrozumiał należycie, o co mi właściwie chodzi, że zatem przypisuje mi zamiary, o jakich mi się ani śniło.

Nie myślę wcale nauczać naród, jak ma sobie postępować z tem, co mu się podaje do wierzenia, czem mu się służy i wypłaca. Naród bowiem, jako organiczna całość, ustalona wiekami, oparta na tradycji i świadoma dziejowego swego zadania, jako jednostka, mająca poczucie i zeznanie siebie — nie potrzebuje reguł dla odróżnienia tego, co przystaje do jego natury, co zgadza się z jego usposobieniem, a co mu jest obce i wstrętne. Kieruje się on w tem uczuciem i kierować się niem nigdy nie przestanie. A jakkolwiek z uczucia tego, czysto instynktowego, nie umie zdać sobie sprawy — nie mniej jest i będzie ono dla niego ostatnią instancją, od której wyroków nie masz odwołania. Co przez nią zostanie potępionem, tego zrehabilitować nikt nie potrafi, co przez nią zostanie przyjętem i uznanem za narodowe, to za takie musi być uważanem przez każdego. Pamiętajmy atoli, że te wyroki nie bywają doraźne, że na ich wydanie potrzeba czekać długo, nieraz całe lat dziesiątki. Naród w tej sprawie nie spieszy się, postępuje powoli i z całą oględnością.

Chodzi mi tu więc nie o naród, pojęty w swej organicznej całości, ale o jego jednostki, o te mianowicie, które albo są, albo chcą być jego przewodnikami w obec różnych prądów cywilizacji, o jednostki, które występują przed nim

*

jako adwokaci, broniący sprawy pewnych kierunków myślenia. Jak dla przewódców, tak i dla obrońców instynktowe uczucie narodowości nie wystarcza, odwoływanie się do narodowego ducha, do narodowej zasady, do tradycji, nikogo nie potrafi przekonać. Są to piękne ogólniki, ale jak każdy ogólnik, mające tę słabą stronę, że są zbyt rozciągliwe i dają się wypełniać treścią, jaką się komu podoba.

Czem bowiem jest ów duch narodowy, którego każdym razem wzywamy na świadectwo, gdy nie wiemy, jak wytłómaczyć swój wstręt lub upodobanie do pewnych rzeczy, nastręczających wątpliwość, azali je przyjąć należy lub odrzucić? Jakie są jego właściwości, charakterystyczne cechy, po których możnaby go odróżnić od innego ducha, któreby zdolne były dostarczyć nam pewnej miary do ocenienia, o ile dana rzecz przystaje do niego, zgadza się z nim, lub też mu się sprzeciwia? Czem jest owa zasada narodowa, którą zwykle, jak mieczem Aleksandra, rozcinamy wszystkie kwestje zawiłe i trudne do rozwiązania? Jak ją sformułować? Za pomocą jakich wyrazów i zdań wypowiedzieć ją i określić tak, ażeby się stała dostępną i zrozumiałą dla wszystkich, ażeby będąc dokładnym probierzem tego, co się narodowi podaje, położyła koniec wszelkiej niepewności i dowolności?

Na te pytania, jak mi się zdaje, bardzo słuszne, nikt dotąd nie dał zaspokajającej odpowiedzi.

Łatwiejszą już jest do wyrozumienia i określenia narodowa tradycja, która, będąc wypadkową dziejowych czynników, jest dostępną naszemu badaniu i da się przedstawić w sposób mniej lub więcej zrozumiały dla każdego. Zbadawszy z należytą bezstronnością narodową przeszłość, poddawszy pod ścisły rozbiór dziejowe zabytki, uwydatniające wszystkie strony narodowego życia — wykrywamy własności, charakterystyczne cechy narodowej tradycji. Gdy zaś nie jest ona czem innem, jak sumą kształtów, w jakich przejawiało się życie narodu pod wpływem zewnętrznych okoliczności, więc nie trudno ująć ją w formy, opisać i określić za pomocą wyrazów i w ten sposób uczynić ją widoczną i zrozumiałą dla każdego.

Z tem wszystkiem, czy wolno nam odwoływać się do tradycji w sprawach, które się tyczą obecnego życia narodu lub jego przyszłości? Czy wolno nam o potrzebach dzisiejszego czasu, albo o zadaniach, które dopiero w przyszłości możemy wypełnić, wyrokować ze stanowiska potrzeb, jakich doznawali nasi przodkowie? Tradycja bowiem nic innego nie oznacza, jak to, że zawarte w niej kształty życia wyrobiły się w przeszłości pod wpływem potrzeb, jakie w łonie narodu wywołały zewnętrze okoliczności. Otóż pamiętajmy, że każdy wiek żyje za siebie, że każde pokolenie żyje życiem własnem, to jest rozwija się pod wpływem właściwych sobie warunków, doznaje potrzeb, przez też warunki wywołanych i musi w sobie samem szukać środków, któreby owym potrzebom zadość uczynić mogły. Cokolwiekbądź w tym celu robi i przedsiębierze, robi ono na własne ryzyko, albo na ryzyko przyszłości. Za każdy jego krok źle obmyślany lub źle wykonany, za wszystkie jego błędy i wykroczenia, w szale namiętności popełnione, płaci gotówką nie przeszłość, z którą wszelkie rachunki zamknięte są już raz na zawsze; ale przyszłość — bliższa czy dalsza — przyszłość, która bogatem żniwem oddaje nam to, cośmy zasiali, która będąc koniecznem następstwem naszych czynów, wieńczy nasze usiłowania pożądanym skutkiem, albo przynosi z sobą gorzkie owoce klęsk i niepowodzeń.

Skoro więc nie przeszłość, ale przyszłość stanowi wszystkie koszta naszego życia; skoro nie przeszłość, ale przyszłość ma ciągnąć wszystkie zyski z naszych cnót i zalet i wszystkie nasze długi i niedobory pokrywać: to czyż nie słuszna jest do przyszłości raczej odwoływać się, jak do przeszłości w razie, gdy się okaże potrzeba rozstrzygnąć, jak mamy się zachować w obec pewnego objawu umysłowego, czy mamy go zalecać lub tylko tolerować, czy też zgoła potępić i zwalczać?! Sądzę, że odpowiedź nasuwa się tu sama przez się.

Lecz czy takie podstawienie przyszłości zamiast przeszłości nie jest zastępowaniem rzeczy znanej przez nieznaną. Boć przecie odwołując się do przeszłości, wiem, do czego się odwołuję. Odwołuję się do czynów naszych przodków zapisanych w historji, do ich myśli i uczuć, przechowanych w ich pismach, do obyczajów i zwyczajów, które mniej lub więcej przetrwały w życiu do dziś dnia, do pewnych wierzeń, zapatrywań się, a choćby nawet przesądów, które dotąd licznych mają wyznawców, jeżeli nie w klasie wykształconej, to wśród wiejskiej ludności — słowem, odwołuję się do czegoś, co albo dotąd żyje, albo, jeżeli już nie żyje, to żyło kiedyś i pamięć swego bytu zostawiło w dziejowych zabytkach. Czy można to samo powiedzieć o przyszłości? Czy nie jest ona algiebraicznem x, do rozwiązania którego nie mamy żadnych danych? Czy nie jest ona większym jeszcze ogólnikiem od tych, za jakie uznaliśmy ducha narodowego, narodową zasadę — ogólnikiem, który tak jest obszernym, że go niczem zapełnić nie można?

Prawda, że przyszłość, która jeszcze nie jest, lecz dopiero będzie, porównana z przeszłością, która chociaż również nie jest, ale już była — wydaje się czemś nie ujętem czemś, co tylko domysłowo da się wypełnić jakąś treścią, co tylko przypuszczalnie da się przedstawić w jakichś, dostępnych naszemu pojęciu, kształtach. Wiemy, jaka była przeszłość, ale jaką przyszłość będzie — tego nie wiemy, tego możemy, co najwięcej — spodziewać się, pragnąć i do tego dążyć. Urzeczywistnienie bowiem przypuszczalnych kształtów przyszłości, zawisłem jest od tylu warunków, że ich ani przewidzieć, ani obrachować można, a cóż dopiero mówić o ich zapewnieniu. Przyszłość więc jest czemś, jak najbardziej nieokreślonem, niepewnem. Wszystko to prawda, z tem wszystkiem nie osłabiają te uwagi mego założenia. Przyszłość wtedy dla nas jest niejasną, gdy od niej wymagamy mniej lub więcej takich szczegółów, jakiemi jest zapełniona przeszłość, gdy pragniemy przedstawić ją sobie, jako coś rzeczywistego, dającego się rozłożyć na pierwiastki; ale staje się jasną i zrozumiałą, gdy ją pojmować zechcemy, jako zamiar, nad spełnieniem którego pracujemy, jako zadanie, do urzeczywisteienia którego zmierzamy.

Każdy naród, mający poczucie swej odrębności, zeznanie swej indywidualności, musi mieć także świadomość dziejowego swego zadania. Będąc bowiem członkiem narodowej rzeszy, zajmuje w niej jakieś stanowisko, jakie mu zakreśla geograficzne jego położenie, dziejowe zasługi, a w końcu moralne i umysłowe przymioty. Pilnować swego stanowiska, gdy się je już raz zdobyło, albo dążyć do zdobycia lub odzyskania go, gdy się go niema albo straciło — jest to mieć dziejowe zadanie, jest to mieć przed sobą przyszłość wyraźną, ściśle określoną i zrozumiałą dla wszystkich.

Do takiej to właśnie przyszłości należy się odwoływać każdym razem, gdy idzie o przedsięwzięcie jakiegoś kroku, który w przyszłości musi pociągnąć za sobą ważne następstwa, gdy idzie o rozpoznanie, jak potrzeba się zachować w obec pewnych objawów, bądź umysłowego, bądź politycznego życia, o których nie wiemy, czy mamy je uznać za swoje, czy za naleciałe zkądinąd; w imię takiej to przyszłości można tylko rozstrzygać, o ile słusznemi są nasze wstręty i uprzedzenia do pewnych kierunków myślenia, czy to samodzielnie powstających w łonie narodu, czy to przyjętych od obcych. Przyszłość taka jest najwyższym trybunałem, nie tylko w sprawach dotyczących chwili obecnej lub doniosłością swą sięgających po za nią; decyduje ona również w sposób stanowczy, nieodwołalny o rzeczach, które się dostały dziedzictwem po naszych ojcach, a mianowicie, co z nich ma być zachowanem w życiu, jako mogące się nam przydać dla naszych celów, a co ma być złożonem w archeologicznem muzeum, jako droga sercu pamiątka.

Jedyną we wszystkich tych wypadkach zasadą, rozstrzygającą wszelkie wątpliwości, jest zasada użyteczności dla narodowej sprawy, jest wzgląd na zadanie, jakie się ma przed sobą do spełnienia. Co, pod jakimkolwiekbądź względem sprzyja narodowemu zadaniu, co ułatwia lub przyspiesza jego spełnienie, to jest pożytecznem i dobrem i musi być uznanem za narodowe; wszystko zaś, co mu się sprzeciwia, co je utrudnia lub spaźnia, jest szkodliwem. Miarą bowiem tego, co jest narodowem, a co niem nie jest, może być tylko życie i nic więcej, jak życie. Stanowić o potrzebach obecnej chwili ze stanowiska warunków, w jakich przeszłość się znajdowała, jest to poświęcać życie dla śmierci, jest to zabijać żyjące pokolenia dla uczczenia zmarłych przodków. Ojcowie nasi mieli swe uczucia i przekonania, swe potrzeby i dążności, nad których spełnieniem pracowali jak mogli i umieli — niechże i nam wolno będzie być nie niewolniczymi ich naśladowcami, ale samodzielnymi pracownikami w dziele narodowej sprawy.

Tradycja, reprezentująca przeszłość, nie powinna być kulą galernika, utrudniającą swobodę ruchów, ale balastem areonauty, utrzymującym łódź jego w rownowadze wobec różnych prądów powietrza, nie powinna być relikwiarzem kości świętych, odbierającym bałwochwalczą cześć, ale zbiorem drogich pamiątek podnoszących ducha i wzmacniających nadzieje—zbiorem, w którym wszakże nie wszystko ma byś umieszczonem, co pochodzi z przeszłości. Przeszłość bowiem w niczem nie była ani lepszą, ani gorszą od czasów obecnych. Miała ona wiele dobrego, ale również nie zbywało jej i na złych, a nawet bardzo złych czarzech. Uważać tradycję za dogmat, przed którym tylko korzyć się potrzeba, za testament od którego w niczem nie wolno odstąpić — jest to wyrzekać się siebie, zapierać się swych uczuć i przekonań, tłumić w sobie to wszystko, co żywym pulsem tętni w naszej piersi, co żywą prawdą przemawia w głębi naszej duszy, co nas krzepi w zawodach i cierpieniach, podtrzymuje w nadziejach i pracy.

Ojcowie nasi byli sobą i żyli za siebie, bądźmyż i my sobą i żyjąc, kierujmy się tem, co mamy przed sobą, ale nie tem, co za nami leży, tem co powołanem jest do życia, ale nie tem

co zaród śmierci w sobie nosi, albo jest już złożonem do grobu. Pamiętajmy bowiem co lud nasz mówi: że każdy nieboszczyk, krwią żyjących ludzi przywołany do życia, jest upiorem, który nocami tylko chodzi i ze śpiących ludzi krew wysysa.

Władysław Kozłowski.

CHAITA.

OBRAZEK.

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(*Ciąg dalszy.*)

W minutę potem biegł już ulicą wiodącą ku żydowskiej dzielnicy. Trzymał kwiaty swe w wysoko podniesionem ręku, biegł bardzo szybko, ani słyszał wołań goniących go towarzyszy, a od tych, którzy go doganiali, bronił się rękami i nogami. W ten sposób przebiegł kilka wązkich zaułków, kilkanaście różnokształtnych dziedzińczyków i wpadł do mieszkania babki.

W chwili tej właśnie słońce zachodziło. Ukośny promień jego padał na drobne szybki i spróchniałe ramy okienka. O! błogosławionem bądź słońce, które ozłacasz niekiedy czarne ściany takich nizkich ciemnych izdebek, szkarłatnemi smugami opasujesz takie niezgrabne, gliniane, rozsypujące się piece, i ciepły pocałunek składasz na czole zmarszczonem i zżółkłem takiej przygarbionej, zmęczonej, starej łachmaniarki!

W różowym płomieniu zachodzącego słońca, z kwiatami w wysoko podniesionej ręce, stanął zdyszany Chaimek przed babką swą, która, na stołku siedząc, drżącemi rękami przebierała podarte i brudne łachmany. Snieżne lilje, stulistne róże, błękitne jak niebo niezapominajki, i wysokie trawy ze srebrnemi brzegami rozbłysły w słońcu, niby spadły z nieba odłam tęczy; woń ich świeża, silna, upajająca, napełniła izdebkę całą od czarnego sufitu do glinianej, poszczerbionej, śmieciem okrytej podłogi. Chaita klasnęła w ręce, oczy i usta szeroko ze zdziwienia otwierając.

— Chaimkie!—zawołała,—aj, aj! Chaimkie! a zkąd ty wziął te piękności? gdzie ty znalazł takie brylanty? Daj ty mi ich tu, ja im przypatrzę się! Aj! jak one pachną!

Uczucie niewymownej błogości rozlewało się na twarzy Chaity, gdy wziąwszy piękne kwiaty z rąk wnuka, przyglądała się im zdaleka i zblizka, przymrużała oczy, nos swój uzbrojony w wielkie okulary kryła całkiem prawie w kielichu białej lilji, a szerokie trawy o srebrnych brzegach gładziła dłonią, jakby to były dzieci ukochane, a wciąż wołała:

— Aj! aj! jakie to gładkie! a jak to pachnie! a jak to błyszczy!...

I trudnoby rozpoznać, które z dwojga istot tych, dziecię czy babka, cieszyło się namiętniej temi arcydziełami natury, które zajaśniały nagle w ciemnem i dusznem ich miejskiem więzieniu, tym błyskiem zbytku, który przerznął i rozświecił przed nimi — zmrok nędzy. Cieszyli się oboje naiwnie, głośno, ale uciecha dziecka dłuższą była. Chaita po kwandrasie poczęła głową trzęść smutnie jakoś, westchnęła nawet.

— Kiedy ja byłam młoda — szepnęła — ja takie same piękne kwiaty widywałam w dworskim ogrodzie. Potem, już ja żadnych kwiatów nie widziałam nigdy...

Chaimek siedział w kątku na swojej pierzynce i opowiadając babce o pięknej pani i o sposobie, w jaki kwiaty od niej otrzymał, całował od chwili do chwili róże i lilje. Lecz babka po wielkiej radości posmutniała na cały wieczór, i cerując przy ostatniem świetle dnia stary spencer jakiś, wciąż mruczała do siebie coś o rodzinnej karczemce, o dworskim ogrodzie, o gałęziach brzóz kołyszących się nad wodą, o późniejszem życiu swojem, biedach jego, troskach, bólach...

Wśród nocy budziła się ciągle, stękała, wzdychała, a nie śpiąc, usłyszała jak w ciemnościach zalegających kątek izby, głosił dziecinny, czysty jak srebro, uśmiechniony, z dźwiękiem prośby wymówił przez sen: Daj kwiatek!

Chaimkowi śniła się kobieta w białej sukni i z szafirowem, srebrzyście połyskującem okiem; śniły się mu też kwiaty, i nie dziw, bo oddychał wciąż, owiany był cały ich mocną wonią. Nocy tej, niby drugi Heliogabal, spał on na kwiatach. W obawie aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę, pod małą, biedną poduszeczkę powleczoną sinem, szortskiem płócienkiem.

Bolesne obudzenie! Nazajutrz, Chaita, odmawiając jak zwykle o wschodzie dnia poranne swe modlitwy, usłyszała za sobą głośne, spazmatyczne niemal szlochania. Odwróciła się, i oto jaki obraz przedstawił się jej oczom.

Na wiązce słomy przykrytej na wpół cieńką pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranemi i zjeżonemi, a kolana jego przykryte szarą koszuliną i drobne nagie stopy osypanemi była trupami kwiatów. Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął on wnet pod poduszkę i wydobył skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atłasowe liście białych lilji zżółkłe były i porozdzierane, róże na wpół ogołocone ze swych koron, sterczały uwiędłemi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania... Nie były to już kwiaty, lecz słabe o nich zaledwie wspomnienia. Chaimek z obwisłemi rękami patrzał na nie i płakał, szlochając głośno, pełną piersią. Daremnie pocieszała go babka pieszczotliwemi wyrazy, to znowu łajała go grożąc, że go rózgą wybije... Chaimek nie słyszał nic i nie widział! Łzy duże, rzęsiste, strumieniem nieprzerwanym lały się z oczu jego, i spadając na uwiędłe kwiecie, skrapiały je obfitą niby rosą... Jedna tam była tylko bujna gałęź niezapominajek, która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne te gwiazdki ze złotemi oczami zdawały się łagodnie i smutnie patrzeć na zapłakanego chłopczynę. Gdyby posiadały dar mowy, lub gdyby Chaimek znał imię ich, powiedziałyby mu one z pewnością: „Pamiętaj!"

Nie wiem jednak, czy nauki udzielane mu przez rebe Nochima nie wygonią z pamięci Chaimka łagodnego upomnienia kwiatów z błękitnem spojrzeniem. Chaimek bowiem, od paru miesięcy ma szczęście być wychowańcem i uczniem rebe Nochima...

Był raz wieczór pewien jesienny i smutny. Za okienkiem izdebki Chaity, po długiem, wązkim podwórku z żałośnem gwizdaniem przylatywały wichry, a gdy milkły na chwilę, słychać było głuchy szmer deszczu spadającego na kamienie bruku. Chaita leżała na łóżku swem, stękała i wzdychała. Wązki promień lampki migotał po twarzy śpiącego obok niej Chaimka, a ona w twarz tę wlepiła nieruchome oczy i według zwyczaju swego, półgłosem do siebie mówiła:

— Oj! biedne, nieszczęśiwe ty moje dziecię, co z tobą stanie się kiedy dusza moja rozwód weźmie z mojem ciałem! Co z tobą będzie, kiedy Przedwieczny zawoła duszę moją, aby szła ztąd i połączyła się w światłości Jego z duszami matki mojej i ojca mego, męża mego Lejby i brata mego Abrahama, dwóch synów moich i kochanej córki mojej Małki? A co ja Małce mojej powiem, kiedy ona mię na tamtym świecie zapyta się: Matulu, co ty zrobiłaś z małym synkiem moim, Chaimkiem? czy ty zostawiłaś tam przy nim kogo, kto chleb w usta jego, a rozum w jego głowę wkładać będzie? Jak ona mię tak zapyta się, ja z wielkiego wstydu oczów na nią, na moją kochaną Małkę, podnieść nie będę mogła, i tylko cała łzami zaleję się, bo miłego synka jej Chaimka ja samego jednego na tym świecie zostawię... On tak mały i żadnej rady sobie dać jeszcze nie może... U niego ręce takie małe, że on sobie niemi nic nie zapracuje, a głowa taka głupia, że będzie go do złych rzeczy i do wielkich nieszczęść prowadzić! Oj! biedna, nieszczęśliwa głowa moja!...

Tak rozmyślała i wyrzekała Chaita. Wieczoru tego myślała o śmierci, bo na świecie smutno było i ciemno, wichry żałośnie bardzo jęczały, a ją bolały wszystkie kości i bolała głowa żółtą chustką owiązana i koło serca tak się jej jakoś robiło słabo i boleśnie, iż myślała, że z każdem odetchnieniem cząstka duszy jej ulatuje z jej ciała. Przytem, srogich od dni kilku doświadczała zgryzot. Czy to, że sił niedostawało jej do gorliwych zachodów, czy że rywalka jej Jenta, jako młodsza nieco i zdrowsza, w targu i na śmietniskach wszystkich ją wyprzedzała, — od tygodnia może nie zarabiała nic prawie. Już nawet parę razy otwarcie powiedziała Chaimkowi: Nu, wyproś dziś tam u puryców kilka groszy, bo nie będziesz miał czego jeść! A gdy przyniósł on jej wieczorem wyproszone kilka groszy, nie srożyła się i nie łajała go, a zwykłą w podobnych wypadkach pogróżkę; „ja ciebie za to rózgą wybiję" wymówiła tak cicho, że Chaimek wcale jej nie dosłyszał.

Wieczór był już późny i dawno pora była rozebrać się i wsunąć pod pierzynę, ale stara babka nie czyniła jeszcze tego, leżała w ubraniu i długo, długo mruczała półgłosem, oczów nie spuszczając z twarzy śpiącego wnuka. Potem, podniosła się z ciężkością, narzuciła na głowę i plecy wielką dziurawą chustę, i nie zważając ani na ciemność nocną, ani na deszcz i wicher, wyszła z izdebki. Zgarbiona, z ręką wyciągniętą naprzód, wśród fal deszczowych, które uderzały jej prosto w twarz i przenikały dziurawą jej odzież, przebywała kręte dziedzińczyki i wązkie uliczki. Stopy jej osuwały się co chwila z ostrych kamieni, albo zapadały w głębokie kałuże — szła bardzo powoli. Doszła nakoniec do celu swej wędrówki, i wsunąwszy się w ciemną sionkę nizkiego domostwa, zastukała do drzwi, które znalazła omackiem.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz głos męzki.

Chaita z cicha wymówiła imię swe.

— Wejdź!

Izba, do której Chaita weszła, dość obszerną była, ale ubogą. W głębi jej, na prostym stołku, przed stołem, na którym leżała wielka rozwarta księga, siedział człowiek w długiem do ziemi wyszarzanem ubraniu, z obliczem ciemnem i całkowicie prawie obrosłem gęstemi, ciemnemi włosy. Człowiek ten wczytywał się w księgę z wielkiem znać wytężeniem władz duchowych, bo gdy podniósł wzrok na wchodzącą kobietę, źrenice jego omglone były, jak bywa u tych, którzy z trudnością oderwać się mogą od przedmiotu swych myśli. Nie rozgniewał się jednak, że mu przeszkodzono w zajęciu, i łagodnym głosem zapytał:

— Czego przechodzicie do mnie o tak późnej porze? czy stało się u was jakie nieszczęście?

— Odkąd opuściłam dom moich rodziców, nieszczęście stało się towarzyszem wszystkich dni moich — odszepnęła kobieta.

— Taką widać jest wola Przedwiecznego, wyrzekać na nią wzbrania nam zakon nasz,— surowiej nieco odparł mężczyzna, i zapytał. „Czego chcecie odemnie?“ — Chaita pochyliła się i pochwyciwszy ciemną, suchą jego rękę, do ust swoich ją przyłożyła.

— Rebe! — rzekła,—ja przyszłam prosić cię za wnuka mego, za małe niewinne dziecko, które może bardzo nieszczęśliwem stać się, jeżeli ty nie ulitujesz się nad niem!

Tu rozpowiadać zaczęła o troskach i niepokojach, któremi zapełniał ją przyszły los dziecka.

— Rebe — mówiła u końca mowy swej — ja przed tobą serce moje otworzę. Wielki ja grzech popełniłam, sama dziecko to żebractwa uczyłam... Rebe! niech twoje oko z gniewem i pogardą na mnie nie patrzy... mnie ciężko żyć... Ale ja o dziecko to w wielkim strachu jestem. Ono nauczyło się żebrać, a nauka to zła jest... ona poprowadzić może do tego, że on będzie kraść! Aj! aj! rebe! ja tego nie chcę! ja tego bardzo boję się!

I zaczęła w istocie trząść się na całem ciele, jak gdyby miała febrę.

(Dok. nast.)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XXVIII.

Usiłowania wychodźtwa do przebudzenia kraju z uspienia nie ustawały nigdy. To emisarjusze, to pisma kontrabandą przesyłane, to wpływanie na wyobrażenia przejezdnych krajowców pomimo czujność policji Mikołajewskiej, pomimo rozpusty wkorzenianej przez zabór, oddziaływały na martwotę ogólną i nie pozwalały pozostać po za cywilizacją. Lecz z drugiej strony te usiłowania sprowadzały co raz nowe ofiary, dawały w paszczę Molocha despotyzmu pierworodne rysy poświęcenia. Pamięć o nich zacierała się jednak w ogóle i tylko gdzieś wśród strzech powtarzano imię emisarjusza. Tylko *Zaliwskiego, Wołłowicza, Zawiszy* i *Konarskiego* imiona wybitniej w umysłach się wraziły.

Oprócz wychodźców szło na szubienice i do katorg wielu działaczy krajowców, lecz wieść o nich nie sięgała nawet opinji europejskich, dolatywała wychodźtwo jako niepewny jakiś dźwięk, którego tęskną i żałośną nutę trudno jasno wyróżnić wśród hałasu uraganu wyjącego.

Na wieść o zgonie Konarskiego wychodźtwo miało w 1840 roku obchodzić rocznicę jego w dniu 15. lutego. Komisja korespondencyjna w tym celu wydała odpowiedni okólnik Nr. 19 z 19. stycznia 1840. Wtedy Chodźko Leonard podnosi głos za imionami zapomnianemi i pisze do *komisji korespondencyjnej zjednoczonej emigracji**): „Po różnych punktach Francji i Belgji, niejednokrotnie już były obchodzone uroczystości żałobne dla tego *świeżego męczennika propagandy rewolucyjnej*, jednakże z pism rozmaitych, mów i wierszy napisanych z tej okoliczności, nie dostrzegam, aby poprzednicy Konarskiego, ci, którzy byli wzorem dla niego, otrzymywali wspomnienia godne świętego ich poświęcenia się. Kiedy niekiedy wzmiankowani są: *Zawisza, Wołłowicz, Dziewicki*, a o innych co się równie poświęcili, głuche milczenie, niepojęte zapomnienie! A jednakże liczba tych dzielnych Polaków nie jest tak wielką, aby nie mogła być spamiętaną i przy każdej stosownej zręczności, ze czcią powtarzaną.“

Rzeczywiście w spisie ułożonym przez Chodźkę listę tych ofiar 25 składali: Berini, Bugajski Feliks, Dziewicki Gaspar, Dawidowicz Józef, Dąbkowski Józef, Giecołd Stefan, Hordyński Józef, Jakubowski Michał, Konarski Szymon, Kozubowski Józef, Karczewski, Liberadzki, Moroz Ignacy, Olchoński Antoni, Palmart Aleksander, Przeorski Błażej, Pieńkiewicz Adam, Raczyński Eustachy, Raciński Sylwester, Szpek Edward, Winnicki Antoni, Wojtkiewicz Paweł, Wołłowicz Michał, Zawisza Artur, Zając Grzegorz. „Ażeby zaradzić zapomnieniu i raz na zawsze uwiecznić pamięć tych wszystkich co poumierali śmiercią Zawiszy, Wołłowicza, Konarskiego“, Chodźko proponował wydanie: *Żywotów męczenników politycznych polskich doprowadzających do skutku dzieło rewolucji narodowej, rozpoczętej w dniu 29. listopada 1830 r.* i uważał, że żywoty takie: „będą najwłaściwszą uroczystością obchodzoną w dniu zgonu każdego z męczenników. Tym sposobem wymierzy się jednostajna i równa sprawiedliwość dla tych, którzy w imię równości i wolności, równo nieśli swe życie w ofierze i równą śmiercią przenieśli się do wieczności. Tym sposobem wielka i demokratyczna sprawa ludu polskiego odbierze nowy hołd uwielbienia, że nie dwóch albo trzech było męczenników, lecz dziesięć razy tyle. Ciągle wywołujemy Polskę wielką, potężną, zawartą w dawnych granicach rzeczypospolitej, dlaczegóż ograniczamy się wyliczaniem kilku nazwisk z jednej li prowincji, gdy najważniejszym jest interesem naszym okazać światu, że zamordowani przez najezdników są, co ujrzeli światło dzienne nad brzegami Dniepru, Dźwiny, Bohu, Wisły i Warty, i że to są wszystko bracia Polacy, synowie jednej matki!“

Każdy więc tułacz miał opisać lub podać do wiadomości różne wypadki z życia zamordowanych emisarjuszów, a komisja korespondencyjna miała zająć się ułożeniem żywiołów. „Gdyby podobna *martyrologja polska* była spisywaną z czasów konfederacji barskiej i powstania Kościuszkowskiego, czyżby nie miło i nie pożytecznie nam było znać imiona tych wszystkich, których pamięć nie powinnaby nigdy zaginąć? Dzisiaj szperamy, wyszukujemy i ledwie kilka nazwisk napotykamy, szanujemy je, wielbimy, ale czyż nie milejby było, czyż nie wspanialej dla ojczyzny gdybyśmy dziś mogli powtarzać kompletny szereg nieugiętych męczenników polskich!“

Komisja korespondencyjna jednak nie rozesłała tego zawezwania w porę do zakładów: „bo małe jej środki drukarskie nie dozwalają tak rączego pospiechu... Na przyszłość jednak, nie robiąc z swojej propozycji koniecznego wniosku pochodzącego od siebie, bo ani im możność nie dozwala zatrudniać się biografją męczenników świętej naszej sprawy, ani czas trwania, który, mamy nadzieję, wkrótce ustanie; wydrukuje twój list w swych okólnikach, przyjmie wszystkie objaśnienia o życiu każdego i notatki te włoży w ręce komitetu*).“

Jednakże komisja nie uskuteczniła obietnicy. Chociaż później dopiero poczęły wychodzić 10 obrazów polskich. Życiorysy Zaliwskiego, Wołłowicza, Zawiszy, Konarskiego, Klaudji Potockiej itp. A prawie każdy życiorys był opracowanym przez kogoś innego, a godło miały *usque ad finem*. Cały zaś plan Chodźki nie był nigdy wykonanym, a dziś przy braku przez dawnych towarzyszy dobrze świadomych wypadków, przy braku dokumentów historycznych w tych razach, bodaj czy jest możebnym do wykonania kiedykolwiek.

We dwadzieścia lat później podobnyż los spotkał cenną w podobnym guście zamierzoną pracę *L. Chodźki: Żywot Joachima Lelewela*. Zaraz po śmierci naszego znakomitego historyka**) pisał on; „Dzieła jego literackie są dlań i dla Polski, wieczno-trwałym już pomnikiem, wszakże gdy tylu ludzi czczonych jest medalami, dla uwiecznienia ich pamięci, Lelewel ma niezaprzeczone prawo do podobnego zaszczytu i medal jego będzie odbity za staraniem subskryptorów“. Medal ten rzeczywiście był odbity w Brukselli i bardzo ładnie wykończony. Odbicie to medalu powstrzymało Chodźkę od zbierania składki na inny.

Lecz nie tak łatwo było dokonać drugiej części obietnicy. „Po tej pierwszej powinności, pozostaje druga, w skreśleniu żywota J. Lelewela; źródła własnoręczne dostarczone zaś przez niego samego, dozwalają mi dokonać tej pracy i żywot ten wyjdzie razem *z medalem*.“ Na nieszczęście „najpotężniejsza intéligencja; najgłębsza erudycja znana całemu światu uczonemu; cnoty obywatelskie pielęgnowane w myśli i uczynku w polityce nigdy niezmiennej, bezinteresowność osobista posunięta aż do ostateczności; znamiona które cechowały Joachima Lelewela“ (wedle słów Chodźki), nie doczekała się do dziś dnia streszczenia żywota tak pełnego nauki dla nas. Żal tem większy, że, jak sam o sobie powiada, Chodźko był słuchaczem jego kursów w najpamiętniejszej epoce wszechnicy wileńskiej, w niektórych przedmiotach był jego współpracownikiem naukowym i politycznym i przez ciąg 46 lat (od 1815—1861) łączyła ich najściślejsza przyjaźń.

Teraz dopiero Żupański, wydając dzieła na-

*) Paryż 5. lutego 1840 r. St. Germain des Prés. 9, drukowany przy prospekcie: *Żywotów męczenników polskich.*

*) Odpowiedź Kom. koresp. emi. zjed. 25. lutego 1840 z Poitiers.

**) 1. czerwca 1861. Paryż, ulica Tournon 5.

szego historyka, zamierza dać jego życiorys i zbiór listów do różnych osób. A pracą tą zajął się Leonard Chodźko. Ale kiedy ona będzie ukończoną, niewiadomo; chociaż doprawdy wina wielka, że mając życiorysy lada arystokraty, którego cała zasługa, że urodził się z bogatych rodziców, dotąd nie zdobyliśmy się na poważne badanie życia Lelewela i jego prac historycznych i politycznych, że dotąd nikt nie ogłosił poważnego rozbioru jego prac naukowych.

Rok 1863 jeszcze raz poruszył Chodźkę L. do napisania dla zachodu rysu wypadków naszych i naszkicowania bohaterów, więc miał on zamiar drukować pod kierownictwem bióra komitetu franko-polskiego: *Le memorial polonais*. A miał-to być zbiór historycznych dokumentów i korespondencji odnośnych do wypadków polskich od 1861 do 65, biografij polskich męczenników i składek różnych komitetów ku pomocy polskiej sprawie i Polakom. Gotowy nawet był prospekt, jednakże powstrzymano wydawnictwo wskutek różnych zabiegów. Chociaż nie można nie przyznać, że praca ta przyniosłaby korzyść w obec oszczerstw moskiewskich, gdyż posiada znaczną ilość faktów i autentycznych dokumentów.

XXIX.

Widzieliśmy zabiegi i działalność komitetu franko-polskiego po 1831. Dopókąd żył Lafayette i istniał komitet narodowy, dopóty widać było namacalne dowody istnienia komitetu franko-polskiego. Lecz coraz dalej kasy jego się wypróżniły i tylko imiennie wlekł swój byt, nie wpływając na nic i nic nie robiąc dla sprawy. Dopiero przebudzenie ojczyzny naszej w 1846 ocknęło z uśpienia komitet, który przypomniał teraz, że sprawa polska pod batogiem Mikołaja nie gaśnie. Nowe ofiary wypadków krakowskich, uchodzący z pod nożów szelowskich i więzienia berlińskie przepełniające się, przypomniały Francuzom ich moralne zobowiązanie.

To też członkowie komitetu poruszeni tym prądem jakby odszukali się wzajemnie i znów zaczęli odbywać swe posiedzenia i opłacać składki na korzyść nowych tułaczy. Aż przy zmianach rządu i rzeczpospolita przez *Arago* Emanuela upomniała się o Mierosławskiego i poznańskich powstańców, aż na zgromadzeniach ludowych Paryża przyjmowano z zapałem Mazurkiewicza i innych wracających z pól wrześnieńskich, a na trybunie rozległ się głos Bonapartego, „dajcie 200000 wojska i Polska będzie niepodległą.“

Lecz zanim przebudziła się cała Francja i *vive la Pologne* przebiegało jednym okrzykiem wspólnym miasta, jakby echo na nasze zapasy z wrogami, już komitet franko-polski stał u swej chorągwi braterstwa ludów. Zmieniono dawny herb komitetu. W aureoli pod koroną błyszczały imiona: Kościuszki, Dąbrowskiego i Poniatowskiego, a przy nich krzyżowały się dwie chorągwie trójkolorowa francuska z kogutem i napisem *wolność i powszechny porządek* (*liberté, l'ordre public*), a na drugiej polski orzeł i pogoń litewska i napis: *wolność, całość i niepodległość* (*libertè, integrité, indépendance*).

W skład tego komitetu weszli jako prezydenci *D'Harcourt*, Karol *Lasteyrie*, wiceprezesami zaś Jerzy *Lafayette* i *Taillandier*, pisarzami byli: *Robert* i *Bixio*, skarbnikiem *Vavin* i archiwistą jak dawniej *Chodźko*.

Wśród członków czynnych znajduję posłów na sejm: *Allier*, *Baron*, *G de Beaumont*, *Beaumont* (*de la Somme*), *Baisseul*, *Bonnin*, *Boulay de la Meurthe*, *Bureaux de Puzy*, *Cambacérès*, *Chapuis de Montléville*, *Cordier*, *Jouvencel*, *Isambert*, *Os. Lafayette*, *Larabit* dziś senator, *F. Lasteyrie*, *Lesseps*, *Luneau*, *Madier de Montjau*, *Marchal*, *Marchaut*, *Maurat-Ballauge*, *Pieron*, *St. Albin*, *St. Marc Girardin*, *St. Subervie*. *Teulou*. Sama ta liczba dawnych posłów dowodzi jakie wpływy mógł mieć komitet, a cóż dopiero jeżeli do tej długiej listy zechcemy dorzucić jeszcze: *Bérangera*, Wiktora *Hugo*, Eug. *Sue*, *Julien* (z Paryża), *Montalemberta*, a dziennikarzy takich jak *V. Considerant* (red. *Democratie pacifique*), *Durrien* (red. *Courrier français*), *Français* (dyrektor *revue independante*), *Lesseps* (red. *Esprit public*), *Paya* dyrektor tegoż dziennika, *Perrée* dyrektor *Siècle*), *Sarrans* (red. *la Semaine*), *Selle* (red. *Alliance*) i *Vresse* (dyrektor *Courier français*) i innych.

Wszystkie dzienniki i całe piśmiennictwo wpływowe przemawiało za nami tak samo jak w sejmie.

Wypadki francuskie rychło zatarły przejęcie się sprawą naszą członków komitetu franko-polskiego, jego czynność ustała, gdy ostatnie strzały przestały brzmieć za naszą wolność a nawet odsełanie do Algieru naszych wysyłanych przez Austrję do Ameryki, co zrobiwszy powstanie na okręcie wylądowali do Marsylji, nie wywołało słowa oburzenia na ten czyn.

Znowu więc zamarł czy zaskrzepł komitet i ocknął się zaledwie na odgłos wypadków powstania z 1863.

XXX.

Z długiego uśpienia opinja francuska zaczynała się obudzać przy wypadkach następujących po krymskiej wojnie, i wtedy Chodźko również zaczynał pomału występować w sprawie naszej, ale już głównymi działaczami wówczas byli inni. A nawet przypisywany L. Chodźce *głos z kraju* wywołał powszechne oburzenie wśród obozu demokratycznego, a *Demokrata* poświęca kilka bardzo ostrych, choć słusznych ustępów.

Nadszedł rok 1863 i Polska ku zdziwieniu Europy znowu podniosła chorągiew walki narodowej. W łonie młodzieży tylko zatętniało każde uderzenie kosy i ona tylko radośnie zrozumiała każdy dźwięk wydany. Starsze nasze pokolenie zostało wprawione w nieporozumienie i w jakieś zdziwienie. Demonstracja to lub też powstanie? zapytywano, a odpowiedzi nie można było odszukać.

Jako nader charakterystyczne rysy ówczesnego działania służy korespondencja L. Chodźki z Krystynem Ostrowskim.

Wówczas szlachecka poznańska organizacja wahała się walkę rozpoczętą uznać za powstanie. Pod nastrojem poznańskiego patrjotyzmu pisze Ostrowski: „Powstanie w Polsce szersze przybiera rozmiary, aniżeli się pierwej zdawało. Zdaje się przytem iż *pewna część Moskali z powstańcami bić się nie będzie*“.

Wszyscy tem się pocieszali, zamiast pchać do walki wszelkie siły, od razu liczono na innych a nie na siebie. Dlatego znajduje się dalej w liście: „Bylibyśmy zbawieni, gdyby nasze kilka lub kilkanaście tysięcy, będące pod rozkazami Sadyka paszy mogły być w spór rzucone, czyli innymi wyrazy, gdyby Francja, tak jak sto lat temu, pchnęła Turcję do walki z Rossją... Lecz dzisiaj, jak się zdaje, sama Francja jest wspólniczką Rosji...*) Odrazu więc wpada na usta książę Napoleon i od niego o dowiedzenie się o przyszłości jak od delfickich wieszczków dopominają się; a szlachta swych posłów, czy pełnomocników do przedpokojów dyplomatycznych wysyła zamiast iść do walki.

Na odgłos walki całe zagraniczne dziennikarstwo zagadało i wszelkie wiadomości o powstaniu zaczęto podawać, z jakiegoby źródła nie pochodziły. Pod wpływem tych wiadomości młodzież emigrancka również chciała dążyć do kraju, a Chodźko świaczy, że „młodzież chce ruszać i szuka sposobu i funduszu na tę podróż, ale gdy prawdy rzeczywistej trudno się dopytać, więc koniecznem być musi pewne wahanie się.“**) Lecz kraj oczekując pomocy od cudzoziemców, nie skorzystał wcale z tego chwilowego zapału i zaraz postarał się stłumić te objawy uniesień.

Kraków z siedliskiem jezuityzmu zaraz zaczął tamować prądy rewolucyjne, bojąc się zalania swego dawnego zaszczytu. A pod wpływem krakowskim znowu K. Ostr. pisze 8. lutego: „Bądź łaskaw zalecić braciom emigrantom, aby nic nie przedsiębrali, aby się nie spieszyli z powrotem, dopóki pewniejsze, a szczególnie pomyślniejsze z kraju nie nadejdą wiadomości. Niechaj z uwagą *Czas* dzisiejszy z 8. lutego przeczytają. Mało już jest na teraz nadziei, aby ruch powstańczy, przez Moskwę umyślnie wywołany, a przez młodzież jedynie wiedziony, bez czynnego innych klas udziału, mógł mieć jak na teraz pożądany skutek“.

Jeżeli podobnie pisali znani ze swej gorliwości patrjoci, to cóż musiało się dziać z innymi? Z emigracji przysłano im listy o obietnicach napoleońskich, a z kraju żebrano francuskiej pomocy a ku zdziwieniu cudzoziemców ku ich zdemoralizowaniu usuwano waleczników za sprawę, chowając zdolnych do oręża na lepsze czasy, na potem. Prawda, że oszukani *czasem* i innymi prostowali wieści i jak K. Ostrowski pisali zaraz na drugi dzień „*powstanie utrzyma się kilka miesięcy*, młodzież cudów waleczności dokazuje, a chłopi zaczynają się łączyć; ale każdy zaraz dodawał: „A zatem w Paryżu działać, działać i działać, lecz nie tak, jak opłakanej pamięci pp. Plater i Kniaziewicz w 1831 r.“***) Inni tylko do zastępów anielskich stali westchnieniami ubolewając nad ogromem strat i zawczasu odmawiając wszelkich poświęceń i obowiązków. Żyjąc w ich sferze zawiadamiano emigrację: „Jeżeli się Europa *natychmiast* nie ujmie (nie zaś upomni), piekielny ten plan na jej wieczną hańbę stanie się dokonanym czynem i Bóg go na czole niewolniczej Europy wypiętnuje. *Emigracja już teraz tu nie potrzebna,*“****) Dość było tego tylko, by wytworzone komitety narodowe powstrzymywały wszelką młodzież, twierdząc, że kiedyś będzie potrzebną, bo walka ta i bez niej się obejdzie, a bez pracy kołacze będą smaczniejsze.

Pod zaklęciami działania Chodźko zaczął się krzątać koło odnowienia komitetu francusko-polskiego, ku czemu początek położono już przez ogłaszanie po dziennikach francuskich składek na korzyść powstania.

---

*) 27. stycznia 1863.

**) 30. stycznia.

***) Ostrowski do Chodźki 9 lutego 1863. Kraków.

****) List Ost. do Chodźki 13 lutego 1863 Kraków.

Długo jednak zabiegi były bezpłodne i dopiero w marcu ostatecznie stanął odnowiony komitet, którego czynności daleko nie dosięgły czynności z 1831 roku.

Tymczasem pisze on dalej o kozakach sułtańskich: „Myśl o Turcji byłaby dobrą, alež Sadyk i pan Władysław Zamojski mają tam jedynie wpływ. Od dni kilkunastu mówią, że p. Władysław Czartoryski podnosi kwestję kozaków sułtańskich i nawet jest on teraz w Anglji. Rozumie się, będzie działać jak już działał w 1855 i 56., a zatem czego się spodziewać?“ A zwracającym uwagę na zakład donosi: „Naród francuski jak zawsze najwięcej nam przychylny, ale ruchliwość Francuzów już nie pojmuje, dlaczego Polacy dawno już nie wypędzili Moskalów, bo Francuzi przywykli odbywać podobne przeobrażenia w ciągu 3 dni... Rzecz główna polega na tem; aby walka rozpaczy już rozpoczęta mogła się jak najdłużej przeciągać... W trwaniu zatem walki i passowaniu się na ziemi ojczystej polega najgłówniej interesowanie się dzisiejsze i pomoc materjalna później nadejść mogąca“.

Przez sto lat zawodów doznawanych od Francji, był czas przekonać się, że Francja nam nie pomoże. Zawody ustawiczne ilekroć liczono, że za kilkaset tysięcy trupa polskiego w sprawiz francuskiej kiedyś się ktokolwiek odwdzięczy, prowadziły zawsze nas do błędu i straty, pomimo to kraj, a raczej stronnictwo głębokich polityków sądzących, że dość jest urodzić się szlachcicem, by stać się doskonałym politykiem i odrazu wyprowadzić w pole Metternichów i Taleyrandów, zawsze silniejsze poczucie obowiązku narodowego do działania samego za siebie — tamowało blaskiem pięknych iluzji francuskich pomocy. W czasach pokoju zawsze trzeźwe głowy powstawały na obietnice i spodziewania się nieuzasadnione samorodnych polityków naszych. Ale ile razy naród podnosił się zbrojnie, to samo stronnictwo bezbarwne przyszedłszy do władzy znowu, jakby nic nigdy nie zaszło, wmawiało w siebie i innych pomoc francuską i dowódziło wymownie, że lada dzień, lada moment za nas walczyć przybędą — nam zaś nie zostanie nic innego, jak tylko biernie przeciągać imienną walkę i błagać Boga o odpuszczenie grzechów naszych powszednich. I w czasie walki błyskała chociaż zrzadka myśl polegania na sobie samym i wiary w swe siły, ale i wtedy opiekunowie nieproszeni, a wrodzy ruchowi, głuszyli poczucie ludowego sumienia. Wtedy jako antydotum rewolucjonizmu stawiono napoleońskie idee i napoleońskie obietnice cesarza i księcia, w obec których nawet inne mocarstwa miały zamilczeć. Wskutek tego marnowanie sprawy podejmowanej znowu trzeźwiło wszystkich, ale lud już w kajdanach powtarzał ponuro: mądry Polak po szkodzie. A winę nieszczęść szczęśliwe wstecznictwo waliło na radykalizm.

W czasie 1863 roku myśl za widoczna raz błysła nawet i w kolumnach *Czasu*, a pisząc o tem Ostrowski K. słusznie powiada: „Francja otwarcie nam się sprzeniewierza i z odwiecznemi historycznemi tradycjami zupełnie zrywa głosem dwóch napoleońskich ministrów, p. *Baroche i Billault*, dawnych demokratów, a dzisiejszych zaprzańców. Jestto, jak słusznie powiada p. Szukiewicz... ostateczny między nami rozbrat“.*)

Wiadomą była sprawa wydania Moskalom kopij z papierów zabranych u Milowicza i Cwierczakiewicza w listopadzie 1862 przed powstaniem, co tak wpłynęły na przyśpieszenie wybuchu. Jednak Chodźko powiada, że „to, co nieprzyjazne dzienniki moskiewskie lub niemieckie donoszą o aresztowaniach niektórych tu rodaków i gdy utrzymują, że rząd francuski jest w spójni z moskiewskim, jest zupełnym fałszem“. Tego trzeba było na koło naszych napoleonistów i francuskich pomocy, by zakryć jasną obojętność. W innym liście (16 lutego) pisze Chodźko: Wszyscy tu powtarzają niech Polska trwa i rozwija się jeszcze przez rok cały, jak jest teraz, interwencja będzie mogła i będzie musiała wtrącić się, gdyż przed Bogiem *duchowy*, a przed ludźmi *materialny*, okaże się wynik, iż narodowość polska pomimo wiekowych podziałów trwa i wytrwa; a więc można, trzeba pomagać temu żywiołowi niespożytemu i nieśmiertelnemu. Tak było z Grecją w 1825, tak było z Piemontem 1859; tak będzie i z Polską i ze wszystkiemi narodami, jeśli polegają na sobie i gdy na obcej pomocy polegają tylko dorywczo lub czasowo“.

L. Chodźko sam wykazuje w liście z 22 lutego, jak przez 100 lat zachodnia dyplomacja aż 12 razy nas oszukała najniesumienniej i że wiara w nią zawsze zamorduje nasze samodzielne działanie, pomimo to jednak pociesza krajowców usposobieniem Francuzów: „Prefekci zapytani przez ministra spraw wewnętrznych, jakie jest usposobienie departamentów, jednomyślnie odpowiedzieli iż we Francji znajduje się 500,000 wolontarjuszów byleby mogli ruszyć... ale nim przyjdzie do walki gabinety próbować będą dyplomacji. Daj Boże by ta dopisała, wszakże dotychczas była ona dla nas zgubą“.

List ten kończy Chodźko: „Będą te gabinety radzić o Polsce bez Polaków, będą łudzić się wzajemnie o kongresówkę; a że naturalnie Polacy, co postanowili raczej zginąć niż odstąpić Litwy i Rusi, czyż nie będą uważani za *szaleńców*, za *malkontentów*, i za odpychających mniemane polepszenie ich bytu narodowego“.

A chociaż on radził: „Wy co jesteście na miejscu, myślcie i radźcie jak macie mówić, pisać, drukować i działać materjalnie, aby przekonać Europę i gabinety, iż po jedynastu odpychaniach Polaków, od udziału politycznego w areopagu europejskim, po raz dwunasty, nie dadzą się już uludzić, ani złożyć broni dopóki zostanie jeszcze choć jeden Polak orężny“...; to jednak wszystko to napróżno. W Krakowie radzono bardziej nad zagrzebaniem w gruzach niepokojącego spiących — powstania. —

(C. d. n.)

*) List Ostrow. 8 luty 1863 Kraków.

Wędrowne szczury.

(Z HEINEGO).

Wszystkie szczury prawowite
Bywają głodne lub syte.
Syte rade w domu siedzą,
Głodne pędzą. Gdzie? — Nie wiedzą.

Pędzą, piszcząc z oburzenia
Tysiące mil bez wytchnienia,
Wprost przed siebie; nic im wody,
Nic wichry i niepogody.

Drapią się na stromą górę,
Płyną przez morza ponure,...
Ten, ów — ginie; pozostali
Nie zważają — pędzą dalej.

Tych złowrogich szczurów hordy,
Mają wielkie, straszne mordy,
Głowy strzyżone przy skórze,
Radykalnie tak jak szczurze.

Szczury te nie znają Boga;
A radykalna ich droga
Nie pozwala im na chrzciny.
Kobiety własnością gminy.

Ta banda szczurów zmysłowa
Zawsze jeść i pić gotowa;
I ani myśli piekielna
Że dusza jest nieśmiertelna.

Horda ta tak jest zaciekła,
Że drwi sobie z kotów, z piekła,
Nie zna dóbr i jest gotową
Świat ten podzielić na nowo.

Wędrowne szczury! dla Boga!
Już coraz krótsza ich drogą,
Już słychać ich pisk szalony,
Już idą, idą — miljony!

Gwałtu! jesteśmy zgubieni!
Już są u bram! Przestraszeni
Burmistrz, senat i król blady,
Radzą i nie mają rady.

Mieszczanin chwyta zgorszony
Za broń, księża biją w dzwony,
Zagrożona wszelka jasność
I palladium państwa — własność.

Dzwon, pacierz, ani niestety
Mądre senatu dekrety,
Ni stofuntowe armatki
Nie zbawią was lube dziatki.

Dziś już nie pomoże dzika,
Szumno — pusta retoryka,
Ani żadne syllogizmy —
Szczury skaczą przez sofizmy.

Ich głodne brzuchy przenika
Zupy i klusek logika,
Dziś argumentem — okrasa,
Pieczeń i boska kiełbasa.

Stokfisza, ser, konfitury
Wolą radykalne szczury
Od całego mówców grona,
Począwszy od Cycerona.

M. Rodoć.

LISTY O SZLĄZKU.

przez

F. Jeske-Choińskiego.

III.

Siedmset lat od wspólnej macierzy oderwany, siedmset lat kopciuszkiem różnych panów będący, lekceważony, zapomniany... zachował Górny Szląsk stare tradycje, zwyczaje, obyczaje i język ojców. Obcy wędrowiec, przybywający do tego kraju, mijający go drogą żelazną lub powozem, jako turysta, wynosi z niego miłe wrażenie i rozpowiada w domu o tym cudownym kraju, którego ani wieki, ani usilne starania pruskie zniemczyć nie mogły. Ale kto nie jest turystą, kto nie podróżuje dla przyjemności, wierzchem płynąc, tylko w celach naukowych lub politycznych, więc do głębi sięgając, ten nie wywozi miłego wrażenia, bo ten przekonał się o starej prawdzie, że nie tradycja i obyczaje, a nawet język naród stanowią, lecz jedynie samowiedza odrębnego bytu, własnych celów, własnej polityki, a tego właśnie na Szląsku nie ma. Inteligencja krajowa (księża i nauczyciele elementarni) choć wyszli powiększej części z ludu polskiego, choć nie mówili pod dachem ubogich strzech ojcowskich niemieckim językiem, zniemczyli się w szkołach, seminarjach i uniwersytetach, a jak każdy renegat, chlubią się nabytą narodowością, więcej jeszcze rzekomym szczytem cywilizacji niemieckiej. Nieraz to zdarzyło mi się mówić zksiężmi, noszącymi polskie nazwiska, polską mową władającymi, którzy mi z dumą odpowiadali: „Die deutsche Cultur, hat uns zu Deutschen erhoben.“ Pierwszą robotą takiego księdza bywa germanizowanie nazwiska. I tak, z „Gronostaja“ robi się Grünostel, z „Bąka“ — Bontrek, z „Mądrego“ — Mondro itd. Inteligencję naśladuje naturalnie pseudo-inteligencja, czyli mieszkańcy mniejszych miast. Kto zna miasta Górno-Szląskie, ten zapewne napotkał na szyldach kupieckich i rzemieślniczych mnóstwo okoszlawionych imion polskich. Dziś jest niemczyzna na Szląsku tak w modzie, że ktokolwiek mieszczanina nie nazwie Niemcem, niechybnie go obrazi... A chłop? Wieśniak, który odbył kilkoletni kurs wojskowy, wraca do domu aby się chlubić djalektem takiej niemczyzny, której nikt nie zrozumie. Jedyny proletarjat trzymał się dawnych tradycji aż do najdawniejszych czasów. Naprzeciw tej skoszlawionej ludności, stoi silna falanga niemieckich kulturników, potężna samowiedzą politycznego celu i poparcia z góry. W takich warunkach walczyć niełatwą to chyba sprawą, a przecież znaleźli się dzielni wojownicy, którym należy się korona obywatelska. Zapisuje się tu dwa imiona, których dzieje są historją dzisiejszego Szląska: Lompy i Karola Miarki.

Dopóki się Górnego Szląska duszą nikt nie zajmował, dopóty mu dozwalano żyć okruchami przeszłości, więc nie było obawy, aby się wynarodowił, nie było też nikogo, coby czuł potrzebę przodowania temu wydziedziczonemu ludowi. Ale kiedy się rząd pruski nareszcie domyślił, że nie można gardzić miljonem dusz świeżych, niezepsutych, nie użytych, a zatem więcej wrażliwych, i kiedy zaczął agitację na korzyść wielkiego Vaterlandu, zaraz wyszło z łona szląskiego ludu kilku mężów, co podnieśli nić dziejową. Pomijam Lompę, zaznaczając tylko jego imię, raz, że nie znam jego czynności publicznej, a potem, że ta czynność więcej grunt przygotowała. Właściwym dyktatorem dzisiejszego Szląska jast Karol Miarka; o nim też obszernie pomówić trzeba. Miarka pochodzi z nauczycieli wiejskich, który to stan wydał wogóle wszystkich pracowników Szląska. Sam Miarka był nauczycielem, jak ojciec jego i dziady, a jako wszyscy nauczyciele, przyznawał się głośno do narodowości niemieckiej. Mówił wprawdzie językiem ludu, ale tylko zepsutem okolic pogranicznych narzeczem. Miarka nietylko przyznawał się do narodowości niemieckiej, jak wszyscy jego koledzy, ale nawet wśród reszty jako człowiek zdolniejszy pruskim patrjotyzmem tak dalece celował, że kiedy rząd pruski myślał przez nauczycieli Poznańskie zniemczyć, Miarkę razem z kilkoma kolegami, na szkolnego rektora czyli kulturnika, do ówczesnego W. Księstwa Poznańskiego przeznaczył. W tym właśnie czasie, kiedy miał otrzymać nagrodę za pruski patrjotyzm, nastąpuje przewrót w duszy Miarki. Miarka poznaje się przypadkiem w Cieszynie ze Stalmachem, zasłużonym obywatelem austrjackiego Szląska, a Stalmach tłómaczy mu, że jako Szlązak do rodziny słowiańskiej należy. Mając lat 30 zaczyna się Miarka uczyć po polsku, głównie przez odczytywanie leszczyńskiego „Przyjaciela ludu,“ który w roku 1848, pod umiejętną redakcją Łukaszewicza i innych znaczenia i rozgłosu nabył. Zapalista dusza Miarki rozgrzewa się szybko do naszej sprawy. Z pruskiego patrjoty, robi się nagle, ku podziwowi i gniewowi Niemców pisarz i publicysta, a w końcu sławny agitator polityczny. Czynność swoją polityczną, rozpoczął Miarka od głośnej swojego czasu broszurki p. t. „Głos wołającego na puszczy Szlązaka“. Broszurka ta uderza jak grom w pyszne swoją przewagą Niemcy. Pisma pruskie komentują ją z gniewem, ś. p. arcybiskup poznański, Przyłuski, każe ją drukować i rozrzucać pomiędzy lud w tysiącach egzemplarzy; — droga odcięta, most zniesiony; Miarka musi iść naprzód, bo cofnąć się nie można, bo już rząd zwrócił na niego baczne swe oko. Z elementarnego, wiejskiego nauczyciela, wyrasta nagle człowiek publiczny, z którym się liczyć trzeba, bo audytorjum jego zmienia się od razu.

Nie chcę przesądzać, jednakże z tego, co od Miarki słyszałem, i com widział, zdaje mi się, że natura jego nachyla się do talentu artystycznego. Jest on z natury artystą-pisarzem, a dopiero potrzeba politykiem go zrobiła. Dziś jeszcze, po tyloletniej praktyce, siada ze wstrętem do biórka, ilekroć wypada mu pisać artykuły polityczne. To też po napisaniu wymienionej broszury, której głos był rzeczywiście serdecznem i przekonywającem echem przebudzającej się samowiedzy, a które się szeroko roztoczyło znajdując wszędzie pokrewne echo, pisał Miarka same powieści ludowe. W jedną noc, jak mi opowiadał, podyktował swą powieść pod tytułem: „Husyci na Górnym Szląsku.“ Pracę tę wysłał ś. p. ks. Bażyńskiemu. Ks. Bażyński, opiekun ludu, poznał się od razu na przybywającym szermierzu, i choć język chromał bardzo, jak inaczej być nie mogło, nabył powiastkę za 200 talarów, chcąc autora do dalszej pracy zachęcić. Z pod pióra Miarki wyszedł teraz cały szereg powieści ludowych. „Klemensowa Górka“, „Szwedzi w Lędzinach“, „Petronela“ itd., celem tych powieści było: przypomnienie szląskiemu ludowi dawnych tradycji, ustrojonych w suknie kochającego kraj tubylca, gdyż i Niemcy tych samych motywów powieściowych używali, jednakże... po swojemu, celem zohydzenia naszej przeszłości. Owoce tych korzyści są nieobliczone. Inną rzeczą przemawać do inteligencji, która bądź co bądź, mimo niekompetencji tak zwanej opinji publicznej, umie wyróżnić truciznę od owocorodnego ziarna, a inna — być prostego ludu nauczycielem. Dusza prostego ludu ssie w siebie jak gąbka każdy barwistszy obraz, każde gorętsze słowo. To biała, nie zapisana jeszcze dziecęca dusza, dla której druk hieroglifami był długo. Jeśli pisarz wogóle a po szczególe pisarz-artysta, którego audytorjum jest w każdym kraju najobszerniejsze, bo obejmujące cały naród, wszystkie stany, powinien siadać do pracy z czystem sercem, dobrą wolą i z namaszczeniem iście kapłańskiem—pisarz ludowy więcej od reszty braci literackiej strzedz winien czystości swych zamiarów, boć więcej od wszystkich, a nie względnie, tylko dosłownie swych czytelników nauczycielem jest i kapłanem. Musi być prawdą, bo tak drukowano! Zdanie to jest dotąd artykułem wiary u większej części prostego ludu. A Karol Miarka wziął się do pracy autorskiej „cum furore poetico“ w całem znaczeniu tego słowa. Co więcej, dotąd mimo dwudziestoletniej walki, mimo kilkoletniego więzienia, mimo trudów rozlicznych, zachował tę artystyczną wiarę i zapał gorący, jakie cechują zwykle młodego autora, któryby chciał całemu światu przypiąć skrzydła do ramion, a pierś sporządzić na miarę fidiaszową. Mimo sześćdziesięciu lat swoich, mimo siwego włosa, przemawiał nieraz tak gorąco, kiedyśmy się rozgawędzili, z taką wiarą w Opatrzność i siły ludu, rozpowiadał mi o swoich planach, że go słuchałem z podziwieniem — żal się Boże - żem mu pozazdrościł tego zapału... o lat 35 od niego młodszy. Czas dziś szybko biegnie, włos rychło opada, jak liść z drzewa—serce rano bardzo mrozem się ścina. Biedne my dzieci niemieckiej filozofii i europejskiego materjalizmu!

Kilka lat trwała pośrednia praca Miarki. Powieści jego drukował ks. Bażyński w Poznaniu, albo Stalmacha „Gwiazdka Cieszyńska“, bo Szlązk nie miał jeszcze własnego organu. Tymczasem zaczęły się i inne oczy zwracać na Górny Szlązk. Lesznowski „Przyjaciel ludu“ zaczyna w swoich łamach umieszczać nietylko wiadomości historyczne o Górnym Szlązku, ale i podania stare i pieśni.

W Poznaniu dowiadują się ludzie, że tam gdzieś w Opolu i dalej lud polski mieszka. Uczeni zbieracze podań ludowych ciągną do Szlązka; Łepkowski zakłada tam gazetę, ale musi opuszczać kraj, bo się zbyt gorąco wziął do rzeczy. Jan Koźmian podróżuje po Szlązku w celach naukowych; przebywa tu i Józef Chociszewski, z Cieszyna wygnany, który bezpośrednio na dalsze losy Miarki, namową wpłynął. Będąc gościem u Miarki w Pielgrzymowicach przez kilka miesięcy, namawia go do porzucenia lichego urzędu. Miarka rzuca bakalarkę po niejakimś czasie i kupuje od Chociszewskiego „Katolika“, który pierwotnie w Prusach zachodnich wychodził. Chcąc nie chcąc wychodzi Miarka na drogę redaktora, tę ciężką, absorbującą drogę, na której go czekały i wielka sława i wielka poniewierka. „Katolik“ miał pierwotnie 200 abonentów. Szczupła ta garstka odbiorców taniego pisma pokrywała zaledwie koszta druku, a Miarka miał już wtenczas gromadkę dzieci, które o chleb wołały. Stojąc ciągle pod strażą policyjną, nie wspierany znikąd, miotany walką o byt i całym szeregiem smutków z tej walki idących, pchał Miarka ciężką taczkę ubogiego żywota ze swobodą artysty, który ma uśmiech tam, gdzie

inni łzy wylewają. Doznał on wszystkich goryczy publicznego żywota, bo mu nawet drukarnię mieli sprzedawać, jedyne źródło dochodu, ale przemógł wszystko. Nagle bowiem zmienia się pozycja Prus. Zaczyna się „kulturkampf“ a z nim przebudza się życie polityczne bezwiednych mas. Chłop szląski, który był głuchy na hasła polityczne, zrywa się z oburzeniem na wieść, że mu wiarę ojców biorą. Zaczyna się mięszać do polityki, zajmować się wyborami, na które mu wolno wpłynąć... Miarka jeździ po kraju, zwołuje i odprawia wiece, zakłada po miastach i większych wioskach kółka polskie, spółki spożywcze, Towarzystwa rolnicze, słowem sposobi lud do walki społecznej. A lud szląski garnie się do niego z zaufaniem, powierza mu swoje sprawy, i wkrótce Miarka staje się pierwszą osobą Górnego Szlązka, potężniejszym od złączonych panów i magnatów, bo lud woli tracić służbę i robotę, aniżeli nie wybierać tych posłów, których dowódca każe. Książę pszczyński poświęca tysiące na agitacje przedwyborcze, sprasza chłopów, przemawia do nich po polsku, tak samo książę raciborski, ale lud szydzi z tych zabiegów, bo Miarka inaczej rozporządził. Z postępem walki kulturnej, rośnie znaczenie Miarki. Sami księża, którzy nietylko na uboczu stali, ale nawet wręcz pracom Miarki szkodzili, muszą się teraz z nim łączyć, bo Miarka występuje jako obrońca praw kościoła. Z wrogów stają się księża naturalnymi sprzymierzeńcami. Chudy „Katolik“ staje się potęgą polityczną, z którą się niemiecki Szlązk musi liczyć. Teraz czyta każdy kto może i kto umie, a kto nie umie spieszy do nauczyciela, aby go po polsku czytać nauczył. Z 200 abonentów robi się 8,000, co stanowi już u nas poważną liczbę. Dziś mieszka Miarka w prześlicznej willi za miastem Mikułowem, jest dyktatorem Szlązka, szambelanem papieskim itd. Olbrzymią pracę wynagrodził mu rząd pruski kilkoletniem więzieniem, ale lud szlązki wystawił mu w swem sercu pomnik, którego pewnie czas nie skruszy. Szlązk się ożywił — Szlązk żyć zaczął...

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Klucze pana Viota.

Kiedy cały poruszony jeszcze okropnym tym widokiem, wychodziłem z kolegjum wielkimi krokami, izdebka odźwiernego otworzyła się z łoskotem, i usłyszałem jak mię wołano:

— Panie Eyssette! panie Eyssette!

Był to gospodarz kawiarni Barbette i godny przyjaciel jego, pan Cassagne; obaj mieli miny pomięszane i jak gdyby zuchwałe.

Pierwszy przemówił właściciel kawiarni.

— Czy to prawda, że pan wyjeżdża, panie Eyssette?

— Tak, panie Barbette, — odpowiedziałem spokojnie; — wyjeżdżam dziś jeszcze.

Pan Barbette podskoczył, pan Cassagne zrobił tak samo, tylko skok pana Barbette'a był o dużo silniejszy, aniżeli pana Cassagne'a, bo więcej pieniędzy winien mu byłem.

— Jakto! dzisiaj jeszcze?

— Dzisiaj; biegnę właśnie zamówić miejsce w dyliżansie.

Myślałem, że rzucą się na mnie.

— A moje pieniądze? — wołał Barbette.

— A moje? — wył Cassagne.

Nic nie odpowiadając, wszedłem do izdebki odźwiernego, i poważnie wyciągając pełną garścią piękne sztuki złota księdza Germane, zacząłem rachować na rogu stołu to, co im winien byłem obydwóm.

Co za zdziwienie! Obie zmarszczone twarze wypogodziły się, jak gdyby siłą czarodziejską... Trochę zawstydzeni tem, że okazali mi tak swoją nieufność, ale uszczęśliwieni, że im zapłaciłem, schowali pieniądze do kieszeni i zasypali mię słowami pociechy i oświadczeniami przyjaźni.

— Doprawdy, panie Eyssette, opuszczasz nas?... Ba! jaka szkoda! Jaka strata dla zakładu!

I dalej mnóstwo oh! ah! niestety! a przytem westchnienia, ściskania ręki, przytłumione łzy...

Dniem przedtem mógłbym się był dać złapać na te pozory przyjaźni; ale teraz w kwestjach uczucia byłem kuty na cztery nogi.

Chwila czasu spędzona w altance nauczyła mię znać ludzi — przynajmniej tak sądziłem — i im więcej ci dwaj okazywali mi przychylności, tem mocniejszy wstręt czułem do nich. To też, nagle przerywając śmieszne ich objawy czułości, wyszedłem z kolegjum i prędko pobiegłem zamówić miejsce w błogosławionym dyliżansie, który miał unieść mnie daleko od tych wszystkich potworów.

Wracając z biura dyliżansów przechodziłem mimo kawiarni Barbette, nie wszedłem do środka, ale ciekawość jakaś popchnęła mię do okien... Kawiarnia była pełna. Z pośród dymu fajek gałki kaszkietów świeciły się i błyszczały paski zawieszone na hakach. Wszystkie szlachetne serca były tutaj, brakowało tylko fechmistrza.

Przez chwilę patrzałem na te wielkie czerwone twarze, które się mnożyły w zwierciadłach, na piołunówkę migającą w szklankach, na wódkę w karafkach z wyszczerbionemi brzegami, i gorący rumieniec oblał twarz moją, kiedym sobie przypomniał, że i ja żyłem w tej kałuży... Ujrzałem tego Małego, kręcącego się koło bilardu, znaczącego punkta grających, płacącego poncz; widziałem jak go poniżano, jak pogardzano nim, jak z dnia na dzień psuł się coraz bardziej, ciągle mając fajkę w zębach albo piosenkę żołnierską na ustach... Widzenie to przestraszyło mię jeszcze więcej jak tamto, które miałem był w sali gimnastycznej, kiedym ujrzał bujającą krawatkę fiołkową. Uciekłem...

Otóż, kiedym szedł już w stronę kolegjum, a za mną posługacz dyliżansowy, mający zabrać mój tłómok, na placu spostrzegłem żwawego fechmistrza, który z laseczką w ręku, z kapeluszem przechylonym na ucho, szedł przyglądając się pięknym wąsom swoim, które odbijały w błyszczących lakierowanych butach. Zdaleka patrzyłem, podziwiając go, i mówiąc do siebie: Jaka szkoda, że w tak pięknem ciele, tak brzydka dusza!... On także ze swej strony spostrzegł mię i szedł ku mnie z uśmiechem bardzo serdecznym i z otwartemi ramionami... Oh! Altanko!

— Szukałem cię, rzekł do mnie... Czegóż się dowiaduję? Zamierzasz...

Tu urwał nagle. Wzrok mój przybił mu kłamliwe słowa na ustach. We wzroku tym, który patrzał na niego wprost, w samą twarz, nędznik musiał wyczytać wiele rzeczy dla siebie, bo nagle zbladł, zająknął się i stracił przytomność umysłu; ale trwało to jedną chwilę; natychmiast przybrał poprzednią swą postawę, utkwił w oczach moich dwoje oczu zimnych i świecących jak stal i pakując ręce do kieszeni z wyrazem determinacji, oddalił się, mrucząc, że kto nie jest zadowolony, niech tylko przyjdzie powiedzieć mu o tem...

Bandyto, idź!

Kiedy wróciłem do kolegjum, uczniowie byli na lekcji. Poszliśmy do izdebki mojej. Posługacz wziął tłomoki na plecy i zeszedł. Ja pozostałem jeszcze chwil kilka w tym lodowatym pokoju; popatrzałem na jego ściany nagie i brudne, na kantorek czarny ponacinany, a przez wązkie okienko na jawory, których głowy pokrywał śnieg... Żegnałem to wszystko.

W tej chwili usłyszałem potężny głos, który grzmiał w klasach: był to głos księdza Germane. Głos ten ogrzał mi serce i przywołał do oczu kilka słodkich łez.

Potem zeszedłem powoli, uważnie spoglądając dokoła jak gdybym chciał unieść w oczach obraz cały tych miejsc, których nigdy już nie miałem oglądać. Tak przeszedłem długie kurytarze z wysokiemi, zakratowanemi oknami, gdzie czarne oczy po raz pierwszy ukazały mi się. Niech was Bóg błogosławi, moje drogie czarne oczy!... Przeszedłem także mimo gabinetu dyrektora, świątyni o podwójnych tajemniczych drzwiach; potem o kilka kroków dalej, mimo gabinetu pana Viot'a... Tu zatrzymałem się nagle... O radości! o rozkoszy! Klucze, straszne klucze wisiały u zamku; wiatr poruszał je zlekka. Przez chwilę patrzyłem na te groźne klucze, patrzyłem z rodzajem religijnego strachu; potem nagle przyszła mi myśl zemsty. Podstępnie ręką świętokradzką wyciągnąłem je z zamku i chowając pod surdut, szybko zbiegłem po schodach.

W jednym rogu dziedzińca oddziału średnich, znajdowała się studnia bardzo głęboka. Co tchu pobiegłem do niej... O tej godzinie dziedziniec zupełnie był pusty. Czarownica w okularach nie podniosła jeszcze firanki swojej. Wszystko sprzyjało mi. Wyjąwszy z pod sukni nikczemne klucze, od których tyle ucierpiałem, z całych sił rzuciłem je w studnię... Dzyn! dzyn! dzyn! Słyszałem jak skakały, odbijały się o ściany, a wreszcie ciężko wpadły do wody, która zamknęła się za nimi; spełniwszy tę zbrodnię, oddaliłem się uśmiechając.

Wychodząc nareszcie z kolegium, spotkałem w przysionku pana Viot'a, ale pana Viot'a, którego nie znałem dotąd, pana Viot'a bez jego kluczy, pomięszanego, przestraszonego, biegającego na prawo i na lewo. Przechodząc koło mnie, z niepokojem popatrzał mi w oczy. Biedak miał ochotę spytać mię, czy ich nie widziałem. Ale nie odważył się... W tej chwili odźwierny, przechylając się na poręczy schodów, krzyczał do niego z góry: „Panie Viot, nie znalazłem ich!“ Posłyszałem, jak człowiek od kluczy wyszeptał: „Oh! mój Boże!“ I jak szalony pobiegł szukać ich.

Chciałbym był dłużej cieszyć się tym rozkosznym widokiem, ale trąbka dyliżansu odezwała

się na placu Broni, nie chciałem by pojechano bezemnie.

A teraz, żegnaj na zawsze, wielkie okopcone kolegium, zbudowane ze starego żelaza i z czarnych kamieni; żegnajcie brzydkie dzieci; żegnaj dziki regulaminie; ten Mały odlatuje i nie wróci już. A ty, markizie de Boucoyran, uważaj się za bardzo szczęśliwego, odjeżdżam nie zadawszy ci owego znakomitego pchnięcia szpadą, które tak długo obmyśliwano między szlachetnemi sercami kawiarni Barbette...

Trzaskaj z bicza, woźnico! trąbko, graj! Dobry stary dyliżansie, krzesaj ognia z twoich czterech kół, unoś tego Małego galopem twoich trzech koni... Nieś go prędko do jego rodzinnego miasta, ażeby ucałował matkę swą u wuja Baptysty, a potem wyruszył do Paryża i co najprędzej połączył się z Eyssette'm Jakóbem w jego pokoiku w cyrkule łacińskim...

XIV.

Wuj Baptysta.

Szczególny to był typ człowieka, ten wuj Baptysta, brat pani Eyssette. Ani dobry, ani zły, wcześnie pojął za żonę heroda-babę, skąpą i chudą, której bał się, i jedną tylko miał namiętność: kolorowania. Stare to dziecko od czterdziestu lat żyło wśród słoików, pędzelków, farb i cały czas przepędzało na kolorowaniu rycin w ilustrowanych dziennikach. W domu pełno było starych *Illustrations*, starych *Charivaris*, starych *Magasins pittoresques*, kart geograficznych, a wszystko to mocno ukoloryzowane. W dnie głodowe, kiedy wujanka odmawiała mu pieniędzy na kupno dzienników z rycinami, wuj mój kolorował książki. Jest to fakt historyczny: miałem w ręku gramatykę hiszpańską, którą mój wuj Baptysta pomalował od początku do końca; przymiotniki na niebiesko, rzeczowniki na różowo i t. d.

Między tym to starym maniakiem i jego straszną połowicą, pani Eyssette musiała żyć już od sześciu miesięcy. Nieszczęśliwa kobieta dnie całe spędzała w pokoju brata, siedząc koło niego i usiłując stać się użyteczną. Ocierała pędzelki, nalewała wodę do słoików... Najsmutniejszą jednak przytem wszystkiem rzeczą była owa pogarda, którą wuj Baptysta czuł dla pana Eyssette'a od czasu ruiny naszej. Od rana do wieczora biedna matka moja musiała słuchać: „Eyssette jest lekkomyślny! Eyssette jest lekkomyślny!“ Ah! stary głupiec! Trzeba było słyszeć, jakim tonem poważnym, pełnym głębokiego przekonania mówił to, malując swoją gramatykę hiszpańską!... Później nieraz w życiu spotykałem ludzi, tak zwanych poważnych, którzy spędzali czas na malowaniu gramatyk hiszpańskich, a o innych mówili, że są lekkomyślni.

O wszystkich tych szczegółach, tyczących się wuja Baptysty i o smutnem życiu pani Eyssette u niego, dowiedziałem się później dopiero; jednakże, jak tylko przybyłem do wuja, natychmiast zrozumiałem, pomimo zapewnień matki, że nie jest tam szczęśliwą... Siadano właśnie do stołu, kiedy wszedłem. Pani Eyssette, podskoczyła z radości ujrzawszy mię, i domyślacie się, że swego Małego uścisnęła z całych sił swoich. Jednakże biedna matka miała minę nieśmiałą; mówiła mało, zawsze swoim cichym, drżącym głosikiem — spuściwszy oczy do talerza. Przykro było patrzeć na wązką czarną zupełnie jej sukienkę.

Wuj i wujanka bardzo mię zimno przyjęli. Wujanka z miną wystraszoną zapytała, czy jadłem już obiad. Spiesznie odpowiedziałem, że tak... Wujanka odetchnęła, drżała już o swój obiad! Groch i ryba solona.

Wuj Baptysta, ten zapytał mię, czy to u was wakacje... Odpowiedziałem, że opuściłem uniwersytet, i że jadę do Paryża, gdzie brat Jakób znalazł mi dobre miejsce. Wymyśliłem to kłamstwo, by uspokoić biedną panię Eyssette, a także, by w oczach wuja uchodzić za człowieka poważnego.

Słysząc, że ten Mały dostał dobrą posadę, ciotka zrobiła wielkie oczy.

— Danielu — rzekła — trzeba żebyś zabrał matkę swoją do Paryża... Biedna kochana kobieta tęskni za dziećmi; a potem, sam to dobrze rozumiesz, jest to ciężar dla nas, i twój wuj nie może być zawsze *dojną krową* rodziny swojej.

— Rzeczywiście — rzekł wuj Baptysta z pełną gębą — jestem *dojną krową*...

To wyrażenie *dojnej krowy* nadzwyczajnie podobało mu się; kilka razy z rzędu powtórzył je z największą powagą...

Obiad trwał długo, jak zwykle u ludzi starych. Moja matka jadła mało, przemówiła do mnie słów kilka i ukradkiem spoglądała na mnie; wujanka pilnowała ją.

— Spojrz na siostrę swoją — mówiła do męża — radość z widzenia Daniela, odjęła jej apetyt. Wczoraj dwa razy brała chleba, dzisiaj raz tylko.

Ah! droga pani Eyssette! jakże chciałbym był wyrwać cię ztamtąd od tej niemiłosiernej *krowy dojnej* i jej małżonki, ale niestety! sam nie wiedziałem. co począć w przyszłości, pieniędzy tyle tylko miałem, ile trzeba było na drogę, i domyślałem się, że pokój Jakóba nie dość był wielki, byśmy wszyscy troje mogli pomieścić się w nim. Gdybym przynajmniej mógł pomówić z tobą, swobodnie uścisnąć; ale nie! Ani na chwilę nie pozostawiono nas samych... Przypomnij sobie: zaraz po obiedzie wuj wrócił do swojej gramatyki hiszpańskiej, wujanka czyściła srebro, a oboje śledzili nas z pod oka... Godzina odjazdu nadeszała, i nie mogliśmy wcale pomówić z sobą.

Temu Małemu bardzo ciężko było na sercu, kiedy wyszedł od wuja Baptysty; idąc samotnie w cieniu wielkiej alei, która prowadzi do kolei żelaznej, bardzo uroczyście przysiągł sobie dwa lub trzy razy, że będzie odtąd prowadził się jak człowiek i myślał tylko o odbudowaniu ogniska.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Moje kalosze.

Chociażbym żył tak długo jak mój wuj Baptysta, który musi być teraz tak starym, jak stary baobab w środkowej Afryce, nigdy nie zapomnę pierwszej podróży mojej do Paryża w wagonie trzeciej klasy.

Było to ostatnich dni lutego, w porze bardzo zimnej jeszcze. Na dworze niebo szare, wiatr, grad drobny, nagie wzgórza, łąki bez trawy, długie szeregi martwych winnic; w wagonie śpiewy pijanych majtków, chłopi śpiący z ustami otwartemi jak zdechłe ryby, staruszki z koszami, dzieci, pchły, mamki, jednem słowem cała ruchomość ludzi biednych z zapachem fajki, kiełbasy z czosnkiem i spleśniałej słomy. Zdaje mi się, że jeszcze jestem wśród tego wszystkiego.

Wyjeżdżając, umieściłem się w jednym z kątów wagonu przy oknie, żeby patrzeć na niebo: ale o dwie mile dalej wojskowy jakiś od szpitala, zabrał mi miejsce moje, pod pozorem, że chce siedzieć naprzeciw żony swej, i tak biedny ten Mały, nie śmiejąc się skarżyć, skazany został na przejechanie dwuchset mil między grubym brzydkim mężczyzną, od którego czuć było siemieniem lnianem, i olbrzymią babą, która cały czas chrapała na jego ramieniu.

Podróż trwała dwa dni. Te dwa dni przepędziłem na jednem miejscu, nieruchomie siedząc między mymi dręczycielami, z głową sztywną i zębami zaciśniętymi. Ponieważ nie miałem ani pieniędzy ani zapasów żywności, przeto nic nie jadłem przez całą drogę. Dwa dni bez jedzenia, to długo! — Pozostały mi jeszcze wprawdzie dwa franki, ale zachowałem je starannie na przypadek, gdybym przybywszy do Paryża nie znalazł przyjaciela Jakóba na dworcu kolei, i pomimo dokuczliwego głodu miałem na tyle wytrwałości, żem nie dotknął tych pieniędzy. Najwięcej jednak męczyło mię to, że koło mnie wszyscy wciąż jedli w wagonie. Pod nogami memi stał przeklęty kosz mocno opakowany, z którego mój sąsiad wojskowy raz w raz dobywał przeróżne wędliny i dzielił się niemi ze swoją panią. Sąsiedztwo tego kosza czyniło mię bardzo nieszczęśliwym, szczególnie drugiego dnia. Jednakże nie od głodu najwięcej cierpiałem w tej strasznej podróży. Wyjechałem z Sarlande bez trzewików, mając na nogach tylko płytkie kalosze gutaperkowe, które służyły mi w kolegium do obchodzenia sypialni w nocy. Bardzo to ładna gutaperka; ale zimą w trzeciej klasie... Boże! jakże mi było zimno! O mało co nie płakałem. W nocy, kiedy wszyscy spali, brałem po cichu nogi moje między dłonie i całemi godzinami trzymałem je tak dla rozgrzania. Ah! gdyby pani Eyssette widziała mię wówczas...

A jednak! Ten Mały pomimo głodu, co ściskał mu żołądek, pomimo tego okrutnego zimna, od którego łzy mu nabiegały do oczu, czuł się bardzo szczęśliwym i za żadne skarby świata nie byłby odstąpił tego miejsca, tej połówki miejsca, jakie zajmował między wojskowym i szanowną połowicą jego. Na końcu wszystkich tych dolegliwości był Jakób, był Paryż.

W nocy drugiego dnia, koło godziny trzeciej nad ranem, zbudziłem się nagle. Pociąg zatrzymał się właśnie. W całym wagonie powstał ruch.

Usłyszałem, jak wojskowy mówił do żony:

— Otóż i jesteśmy.

— Gdzie? — spytałem, przecierając oczy.

— W Paryżu.

Rzuciłem się do drzwiczek. Nie widać tu było wcale domów. Puste pole tylko, latarni kilka, tu i ówdzie wielkie stosy węgla drzewnego; a dalej, dalej, wielkie czerwone światło i huk podobny do szumu morza. Od drzwiczek do drzwiczek człowiek z latarnią szedł, wołając: „Paryż! Paryż! bilety!“ Mimowoli cofnąłem głowę z przestrachem. Był to Paryż.

Ah! wielkie okrutne miasto, jak słusznie ten Mały obawiał się ciebie!...

*

W pięć minut potem byliśmy na dworcu. Jakób czekał tam już od godziny. Spostrzegłem z daleka długą postać jego trochę przygarbioną i wielkie ręce, któremi dawał mi znaki po za kratą. Jednym skokiem znalazłem się koło niego.

— Jakóbie! mój bracie!...

— Ah! drogie dziecko!

I dusze nasze połączyły się w uścisku ramion. Na nieszczęście brakuje dworcom urządzenia stosownego do tych pięknych uścisków. Jest sala podróżnych, sala bagażów, ale nie ma sali wynurzeń, nie ma sali dusz. Popychano nas, deptano.

— Posuwajcie się! Posuwajcie! —wołali na nas akcyźni strażnicy.

Jakób rzekł do mnie z cicha: „Idźmy ztąd. Jutro przyszlę po twój tłomok.“ I wziąwszy się pod ręce, wyruszyliśmy do cyrkułu Łacińskiego.

Nieraz potem chciałem przypomnieć dokładnie, jakie wrażenie sprawił na mnie Paryż tej nocy; ale tak rzeczy jak ludzie, kiedy je po raz pierwszy widzimy, ukazują się nam pod postacią, której później odnaleść nie możemy. Ten Paryż, który ujrzałem za przybyciem mojem, nigdy już potem nie mogłem go odszukać. Było to niby jakieś mgliste miasto, które przeszedłem niegdyś, przed laty, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, i do którego nie wróciłem już więcej.

Pamiętam drewniany most na rzece zupełnie czarnej, potem wielkie puste nadbrzeże i ogromny ogród wzdłuż nadbrzeża tego. Przed tym ogrodem zatrzymaliśmy się na chwilę. Po przez kraty, co go otaczały niewyraźnie, widać było budki, trawniki, kałuże wody, drzewa błyszczące od szronu.

— To ogród Botaniczny — rzekł mi Jakób Mają tu wielką ilość niedźwiedzi białych, lwów, boa, hiopopotamów...

W istocie czuć było ztamtąd zwierzynę, chwilami krzyk dziki lub chrapliwy ryk wydobywał się z tej ciemności.

Przycisnąwszy się do brata, wytężałem wzrok, by coś dojrzeć po za kratami, i w jedno uczucie strachu zlał się dla mnie ten Paryż nieznany, do którego przybywałem w nocy, i tajemniczy ów ogród; zdawało mi się, że wylądowałem do czarnej jaskini, pełnej dzikich zwierząt, które miały rzucić się na mnie. Na szczęście, nie byłem sam, miałem Jakóba do obrony mojej... Ah! Jakóbie! Jakóbie! dla czegoż nie miałem cię zawsze?

Szliśmy długo, długo jeszcze, czarnemi, nieskończenie długiemi ulicami; potem nagle Jakób zatrzymał się na małym placu, gdzie stał kościół.

— Otóż i Saint-Germain-des-Prés — rzekł do mnie. — Pokój nasz jest tam, w górze.

— Jakto! Jakóbie?... w dzwonnicy?...

— W samej dzwonnicy... to bardzo wygodnie, zawsze wiadomo która godzina.

Jakób przesadzał trochę. Obok kościoła był dom, i w nim to Jakób zajmował małą izdebkę pod strychem, na piątem czy szóstem piętrze; okno tej izdebki wychodziło wprost na dzwonnicę Saint-Germain, jak raz naprzeciw zegara wieżowego.

Wchodząc do mieszkania tego, krzyknąłem radośnie: „Ogień! jakie szczęście!“ I pobiegłem natychmiast do kominka; nie zważając na niebezpieczeństwo grożące kaloszom, które mogły stopnieć od ognia, wystawiłem nogi przed płomieniem. Wtenczas dopiero Jakób spostrzegł dziwne obówie moje. Śmiał się z niego bardzo.

— Mój kochany — rzekł mi — wielu ludzi, którzy się wsławili potem, przybyło do Paryża w sabotach; sami się tem chlubią. Ty będziesz mógł powiedzieć, żeś przyjechał w kaloszach, to daleko oryginalniej. Tymczasem włóż te pantofle, i bierzmy się do pasztetu.

To mówiąc, poczciwy Jakób przysuwał do ognia mały stoliczek, zastawiony już do jedzenia, który czekał na nas w kącie. (C. d. n.)

ŚMIERĆ OD PIORUNU.

Jeśliby komu, jak księciu Clarence, zostawiono, jako łaskę, do wyboru rodzaj śmierci, to w niemałym byłoby się kłopocie. Mamy obecnie tyle „pociągających“ środków, dostarczonych przez postęp nauki, środków pozwalających przekroczyć granicę między życiem a śmiercią, w sposób bardzo wygodny i bez zbytecznie przykrego uczucia, że naliczyćby ich można setkami. Clarence życzył sobie być utopionym w małmazji, dziś, gdyby pioruny były w mocy ludzkiej, najlżej byłoby przy ich pomocy przemknąć się do wieczności.

Nie masz bowiem rodzaju śmierci, któryby równie szybko i zupełnie bez wiedzy, bez żadnego bólu, przecinał nić żywota.

Dowód na to prosty i nawet stwierdzony doświadczalnie. Zobaczmy tylko jak się usuwa granica między świadomością istnienia a nieświadomością. Siedliskiem, w którem się wyrabia świadomość jest mózg. Jeśli odbieramy jakiekolwiek wrażenie, jeśli np. dotkniemy ręką do jakiegoś parzącego przedmiotu, to szybko rękę cofniemy doznawszy uczucia bólu. Przebieg funkcji nerwowych jest wtedy następujący. Po nerwach czucia przenosi się wrażenie do mózgu; przeniesienie się to nie odbywa z błyskawiczną szybkością, owszem idzie dość powoli. Mózg zawiadomiony wysyła do obrażonego miejsca po nerwach ruchu rozkaz cofnięcia ręki. Na to wszystko trzeba dość znacznego stosunkowo czasu. Prąd nerwowy bieży z szybkością mniej więcej 200 stóp na sekundę po nerwach człowieka i wyższych zwierząt, u wieloryba 100 stóp. Jeśli więc weźmiemy to ostatnie zwierzę pod uwagę, mające dajmy na to około 50 stóp długości, to jeżelibyśmy je zranili w ogon, to wrażenie potrzebowałoby pół sekundy czasu na dojście do mózgu, przez ten czas wieloryb nicby nie czuł rany. Potem mózg potrzebowałby pewnego bardzo któtkiego czasu na odpowiednie ułożenie swoich brobin do świadomego ujęcia wrażenia i dopiero wtedy wyszedłby rozkaz napowrót do ogona, przez nerwy ruchu, do mięśni, któreby ten ogon w ruch obronny wprawiły. A więc razem na spełnienie całej czynności potrzebaby było około jednej i jednej dziesiątej sekundy.

To samo dzieje się i z człowiekim. Wrażenie otrzymane w nogę, potrzebuje czasu na przebieżenie do mózgu, mózg potrzebuje czasu na wydanie rozkazu, który znowu z szybkością niedającą się zmierzyć przenosi do nogi. Całość wymaga około jednej dwudziestej części sekundy.

Odbywa się tu rodzaj telegrafowania do mózgu, jako do stacji głównej i z tamtąd napowrót do muskułów. Jeżeli w jakikolwiek sposób nerwy czucia przestaną działać, i nie będą przenosiły wrażeń, albo mózg nie zdolnym będzie do funkcjonowania, to wtedy o żadnem, choćby najboleśniejszem wrażeniu nicbyśmy nie wiedzieli. Moglibyśmy otrzymać śmiertelne rany, bez zupełnej wiadomości o tem. Jeżeli np. kula karabinowa przejdzie przez mózg, to następuje śmierć bez żadnego uczucia bólu. Na przebicie głowy taka kula potrzebuje coś około jednej tysięcznej części sekundy, więc na przyjście do świadomości nie ma zupełnie czasu.

Lecz jest jeszcze jeden rodzaj śmierci, który czyni to daleko prędzej. Piorun przebiega z obłoków do ziemi, w czasie krótszym niż jedna stotysięczna część sekundy. Iskra elektryczna bieży z tak wielką szybkością, że na przebieżenie przestrzeni między ziemią a księżycem potrzebowałaby zaledwie jednej sekundy. Błyskawica trwa tak krótko, że wszystkie przedmioty na ziemi, nawet najszybciej się ruszające, oświecone jej blaskiem wydają się nieruchomymi. Pociąg kolejowy w całym pędzie, przy świetle błyskawic wydaje się stojącym i widzieć można koła nieruchome. Nawet kula armatnia prująca powietrze, wydałaby się nieruchomo zawieszoną w przestrzeni. Jest to chwila tak krótka, że o niej zaledwie pojęcie mieć możemy, i jeżeli według powyższego obliczenia kula karabinowa mogła zadać śmierć bez bolu i bez samowiedzy, to tembardziej jeszcze śmierć taką zadaje piorun, porażający natychmiastowo cały system nerwowy wraz z mózgiem. Mamy na to zresztą dowody doświadczalne, dostarczone przez ludzi porażonych piorunem, którzy jednak zdołali przyjść do siebie.

I tak np. Hemmer opowiada o pewnym żołnierzu, który w okolicach Mannheimu schronił się widząc zbliżającą się burzę pod drzewo, pod którem już siedziała jakaś kobieta. Popatrzył w górę czy liście są dość gęste i czy deszcz się nie przeciśnie i w tej chwili został porażony piorunem i padł na ziemię. Kobieta doznała tylko silnego wstrząśnienia. Żołnierz się potem ocucił i ostatniem wrażeniem jakie pamiętał, było to że patrzał w górę na liście drzewa. Przejście ze stanu świadomości do nieświadomości odbyło się zatem bez jego wiedzy i po ocuceniu nawet nic nie wiedział o tem, że był porażony piorunem.

Zdarzył mi się także wypadek, który tego oczywiście dowodzi. Posiadam szczególnie wrażliwe nerwy na wstrząśnienie elektryczne i silnie odczuwam nawet słabe bardzo prądy. Raz, robiliśmy doświadczenie z wielką baterją leydejską złożoną z dziesięciu wielkich baniek. Przy połączeniu biegunów, otrzymywało się potężną iskrę przelatującą z hukiem podobnym do wystrzału pistoletowego. Otóż zdarzył mi się wypadek taki, że łącząc różnoimienne powłoki, nieostrożnie nachyliłem konduktor tak, że otrzymałem cały ładunek w rękę. Lecz o wypadku tym nic nie wiedziałem, bo padłem od razu bez czucia i ocuciłem się po kilku minutach, nie wiedząc co zaszło. Czułem tylko silny ból głowy i jakieś dziwnie przykre uczucie w stawach. Świadomość straciłem raptownie, nie odczuwając najmniejszego bolu.

Tyndall miał także podobny wypadek, podczas jednego z publicznych wykładów. Dotknął się nieostrożnie naładowanej baterji i wnet stracił świadomość. Lecz trwało to może sekundę tylko, i świadomość zaraz wróciła. Najdłużej nieczuły n był nerw optyczny.

Jeżeli takie małe ilości zdołają odrazu przeciąć świadomość, to cóż dopiero mówić o potężnych wyładowaniach elektrycznych między obłokami a ziemią.

Br. Abakanowicz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Z c. k. Sądu krajowego do spraw karnych we Lwowie otrzymaliśmy następujący wyrok:

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy w sprawach karnych we Lwowie orzekł na podstawie §. §. 489 i 493 ustawy o postępowaniu karnem i §. 37 ustawy prasowej w skutek wniosku c. k. Prokuratorji państwa, że treść artykułu umieszczonego w numerze 37. czasopisma „Tydzień Polski“ z dnia 12go października 1879, pod napisem: „Zamek na Wawelu“ w ustępie od słów „Dziwnie i boleśnie uderza“ do słów „pamiątek dawnej potęgi“ i pod tytułem „Leonard Chodźko i jego prace“ w ustępie od słów „Zdrowy więc rozum dyktował“ do słów „zbójce do domu“ zawierają w sobie znamiona zbrodni z §. 65 u. k, że zatem zarządzona przez c. k. Prokuratorję państwa konfiskata tego numeru czasopisma „Tydzień Polski“ jest usprawiedliwioną, dalsze rozpowszechnienie treści tego inkryminowanego artykułu wzbronionem i że zabrany nakład ma być zniszczonym.

POWODY.

Inkryminowane ustępy zdolne są zbudzić wzgardę i nienawiść przeciw formie rządu i osobie Panującego zawierają przeto znamiona zbrodni z §. 65 u. k.

Lwów dnia 16. października 1879.

Lidl.

* * *

Słuchajcie co mówi wielka królowa Ranavalona!

„Do moich wiernych!“

„Posyłajcie dzieci wasze tam, gdzie dają naukę, aby nabrały wiadomości; dobre rzeczy które tam zdobędą wyjdą i im i wam na dobre. Co wam rozkazuję jest słuszną rzeczą; czyżbym cośkolwiek zarządziła, coby wam na szkodę wyjść mogło? Ja wiem, że to zapewni wam powodzenie i dlatego rozkazuję abyście się uczyli. A więc bądźcie wszyscy pilni, gdyż chociaż teraz słodycze nauki i mądrości nie są wam znane, polubicie je gdy zasmakujecie. Ja to powiedziałam!

Ranavalona
Madagaskaru królowa.

O Ranavalono! O Madagaskarze! O kraju nasz! Nie minie może półwieku a w bilansie cywilizacji ta wyspa wykaże więcej niż my ludzi umiejących czytać, Japonia więcej takich, którzy pokończyli uniwersytet, Chiny będą bardziej wolnomyślne i postępowe! Madagaskar, który nawiasem mówiąc dobrze znamy z Afrykanki Meyerbeera zaczyna z nami konkurować. Zobaczymy, kto prędzej dobiegnie mety.

* * *

Kiedy już mowa o tych zamorskich krajach, nie od rzeczy będzie przypomnieć czytelnikom, iż właśnie w tym roku zajęli Chińczycy zależną od niebieskiego państwa niegdyś prowincję, zamieszkałą przez ludność mahometańską. Nowy wielko-rządca tego kraju mandaryn niebieskiego guzika, nazwiskiem, jeżeli się nie mylimy-Czin-dra-ta rozpoczął rządy swe od tego, iż wydał surowe rozporządzenie nakazujące, aby każdy z mahometańskich mieszkańców tego kraju pod karą wysokiej grzywny w domu swoim wystawił posąg jednego z bożków oficjalnej religji. Osobne komisje zostały ustanowione w celu czuwania nad pilnem przestrzeganiem tego rozporządzenia. Natomiast uwolnionym został od wszelkich danin na lat sto każdy, który zaparłszy się koranu przyjmie bałwochwalcze państwowe wyznanie.

Rozporządzenie to musi wywołać uśmiech politowania na usta każdego Europejczyka, a jednak *mutato nomine fabula de nobis naratur*. Postawmy zamiast nazwiska Czin-dra-ta imiona galicyjskich mandarynów pp. Krzeczunowicza i Wolańskiego, trzykrotne *Czin!* ich pamięci, — nazwijmy posążki oficjalnych bożków egzemplarzem c. k. „Gazety lwowskiej“, — grzywnom zaś opłacanym przez zepsutych mahometan niechcących przyjąć dobrodziejstwa oficjalnej, religji dajmy miano „stempla“ dziennikarskiego, stempla opłacanego jak wiadómo u nas przez tych co szukają zbawienia po za „Lembergerką“, a znajdziemy się w Galicji. A zatem proszę się nie śmiać z mandaryna Czin-dra-ta, bo jak to powiadają i kocioł garnkowi przygania, a i jeden i drugi jest Krzeczunowiczem.

* * *

Już po wydrukowaniu wstępnego artykułu dowiedzieliśmy się, iż Koło polskie głosować ma przeciw zniesieniu stempla. Motywów bliższych nie znamy, i zaczekamy a z uwagami do dalszego sprawozdania. W obecnym stanie wyrażając się popularnie *rzeczy* tak stoją, iż rząd dopłaca każdemu prenumeratorowi, który porzucając dzienniki niepodległe abonuje sobie *Lembergerkę* — około 3ch reńskich na rok, bo nie każe im płacić stempla. Niechże się cieszą tym faworem!

* * *

Witać będziemy jeszcze jednego miłego gościa. Przyjeżdża pani Modrzejewska i po kilku latach znowu ją ujrzymy. Wszyscy wielbiciele się cisną żeby słyszeć tę wielką artystkę i witają ją z zapałem w powrocie na polską ziemię i scenę. I, dalipan mają racją! Z żadnych ust na świecie, nigdy jeszcze polska mowa tak pięknie nie dźwięczała, żadne nie zdołały jej dodać tyle wdzięku, i tyle uroku.

* * *

U wszystkich dotąd w pamięci tych parę zjazdów polskich przyrodników i lekarzy. Najwybitniejsi reprezentanci tych, którzy pracują na polu nauk przyrodzonych i lekarskich zjeżdżali się aby poznać się wzajemnie, aby udzielić ogółowi rezultatów swych badań. W ten sposób krzewiło się zamiłowanie u ogółu i wytwarzała się łączność między pracującymi na jednej niwie.

Na ostatnim zjeździe lwowskim postanowiono, iż przyszły zjazd odbędzie się w Krakowie i wybrano wydział, który miał się urządzeniem jego zająć. Czas wyznaczono na lato roku 1878. Jednak wtedy przypadła wystawa paryska i z tego względu odroczono go oficjalnie o rok jeden.

Tymczasem dotąd żadnej o tegorocznym zjeździe nie znajdujemy nigdzie wzmianki, a ciągle otrzymujemy zapytania.

Przecież prostym obowiązkiem wybranego wydziału, było dać powody przerwania zjazdów do publicznej wiadomości za pomocą dzienników. Czy przypadkiem ta sprawa nie została także zabagnioną w Krakowie. Może się tam boją pewne sfery, przyrodników jako posądzonych o związki z nieczystemi siłami?

* * *

Powstawanie nowych organów prasy prowincjonalnej witaliśmy zawsze z niekłamaną radością jako objaw budzącego się ruchu umysłowego, jako tworzenie się nowych ognisk oświaty.

Niestety wszystko co u nas dotąd w większych miastach prowincji powstawało, nosiło odrazu w sobie zaród przedwczesnej śmierci. Efemeryczne twory dziennikarstwa ginęły po kilku numerach i śladu po nich nie zostawało...

Tego roku liczniej niż zwykle pojawiać się zaczęły na różnych punktach Galicji czasopisma a znać w nich pewną staranność i niektóre już nawet dość długi czas wytrzymują. Przemyśl, Tarnopol a za nimi Stanisławów występują w szeregu ognisk mających swoje organa. O innych słychać także ze stron najrozmaitszych.

Uważamy tylko za niesłuszne ze strony prasy naszej, że tak mało tym pismom poświęcają wagi. Co do nas, starać się będziemy na przyszłość ten brak zapełnić i od czasu do czasu podawać będziemy krótkie sprawozdania z ruchu umysłowego na prowincji.

W tej chwili mamy przed sobą ostatni numer „Świtu“ (Nr. 18), wychodzącego w Tarnopolu. Spotykamy w nim kilka dobrych artykułów, zręczną nowellę Sewera pt. „Zmiana pozycji“, artykuł popularno-naukowy porządnie napisany pt. „Dziedziczność“ i kilka innych, którym niewiele zarzucić można, chyba że niedbałą korektę.

Lecz uderzającą jest rzeczą, że w całym numerze ani słówka o sprawach miejscowych. Tarnopol i okolica jakgdyby nie istniały wcale. Jeśliby tak zawsze było, to pojąć nie moglibyśmy celu istnienia pisma, nie moglibyśmy zrozumieć dla kogo jest właściwie redagowanem i wydawanem. Jedyna sprawa miejscowa w tym numerze poruszona, jest chyba zawarta w ogłoszeniu o warunkach prenumeraty.

Oprócz tego wśród wcale dobrych artykułów znajdujemy rzeczy niemożliwe. I tak np. wiersz tłumaczony (sic!) z Wiktora Hugo'a (sic!) podany najwidoczniej z celem nadwerężenia języka czytelnikowi. W inseratach „Dziennika Polskiego“ spotykaliśmy się z mniej kulawym rytmem i więcej doborowym stylem, niż ten który tryska z wiersza:

„Morze przedstawia Pana, którego wsza dola
I wszelkie przeznaczenie zachowuje w sobie.“

Czytając cały wiersz zdawało się nam, iż jedziemy po sławnej drodze do Dublan i że lada moment dorożka trzeszcząca we wszystkich zawiasach przewróci się do parowu. Konia z rzędem temu, kto ślad jakiegokolwiek rytmu w tym wierszu odszukać zdoła.

Jakby jakiem nieszczęściem artykuł obok się znajdujący: „Szkice z rzeczywistości i ruchu lwowskiego“ jest jakby naumyślnie obok postawiony. Morderstwa dokonane w wierszu na rytmie, tutaj prześcignięte są w wyrafinowanem pastwieniu się nad logiką. Autor chce widocznie naśladować naszego niezrównanego humorystę Lama. Tak widocznie chciało przeznaczenie, bo i pierwsze litery imienia i nazwiska są te same. Czy redakcja żartuje sobie z czytelników pomieszczając podobnego rodzaju banialuki! Nie przystoi to jej, tem bardziej, że w innych działach znać staranność i uczciwą pracę.

Niech nasz kolega tarnopolski nie bierze tych uwag za złe, bo go zapewnić możemy, iż czynione są z życzliwem usposobieniem.

W końcu jeszcze jedna uwaga do administracji. Jak można pozwolić, żeby inserat pana J. G. z Mikuliniec (który nawiasem mówiąc jest prawdopodobnie figurą, nie godną zwracania szczególniejszej uwagi), znajdował się w łamach uczciwego pisma, inserat rzucający obelgę na Towarzystwo oficjalistów prywatnych, tak powszechnie szanowane i tak pożyteczne dla kraju. Nie wątpimy, iż to jedynie brak uwagi był przyczyną wydrukowania tego niefortunnego anonsu.

* * *

Opera nasza zaniedbana nie ma już siły przyciągającej dla naszej publiczności, jednak operetka zawsze jeszcze potrafi zapełnić teatr. W ubiegłym tygodniu przedstawiono po raz pierwszy Suppé'go „Fatinicę“. Myzyka tej ope-

retki jest bardzo przyjemna i wesoła, nie jest bogata w melodje, jak w innych płodach tegoż kompozytora, zawsze jednak dająca się słuchać z wielką przyjemnością. Libretto dla naszej publiczności bardzo sympatyczne, gdyż przeważnie przepełnione satyrą na rossyjskie figury, ubawiło też rzeczywiście kilkakrotnie tłumnie zebranych widzów.

Nie da się zaprzeczyć, że dyrekcja starannie wystawiła tę operetkę, gdyż i o nowe dekoracje bardzo udałe się postarała i o kostjumy stosowne. Chóry szły gładko i harmonijnie, partji jednak solowych prócz p. Skalskiej, nie miano kim obsadzić, gdyż nie posiada Dyrekcja żadnych sił operetkowych. Pani Zimajer, w roli „Fatinicy“ dobrą była jako artystka, grająca z humorem sobie właściwym, nie może jednak zadowolić pod względem spiewu, nie posiada bowiem koniecznego w operetce warunku, t. j. głosu. Ta sama historja i z innymi artystami. Mimo to operetka ta długo zapewne utrzyma się w repertoarze, dla przyczyn powyżej wspomnianych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Kraszewski napisał nową dwutomową powieść: „Dwa bogi — dwie drogi“, która pojawić się ma w jednem z pism codziennych.

*** Znakomita powieść J. I. Kraszewskiego „Brühl“ ukazała się w przekładzie rosyjskim w oddzielnej książce.

*** W osobnej książce ukazała się w handlu księgarskim powieść J. I. Kraszewskiego, pod tytułem: U Babuni“.

*** Kazimierz Kraszewski zajął się przekładem tragedji Fryderyka Hebbla: „Judyta“.

Rzecz ta należy do uznanych arcydzieł współczesnej literatury.

*** Nakładem p. Lewentala wyszła z druku „Historja Hermana Hettnera literatury angielskiej od czasu przywrócenia królestwa, aż do drugiej połowy ośmnastego stulecia (1660 — 1770)“

Przełożyli z niemieckiego podług 3-go wydania pp. Piotr Chmielowski i Edward Grabowski.

Dzieło to stanowi piękny przyczynek do poważnych wydań, którémi od pewnego czasu nakładcy nasi starają się zadowolnić słuszne wymagania znacznej części czytelników.

Przekład wierny i staranny czyni zaszczyt tłómaczom.

*** Ozdobne wydanie „Pieśni Heinego“, przekładu Aleksandra Kraushaara, rozchodzi się szybko.

„Blady Henryk“ liczył zawsze wielu wielbicieli w naszej czytającej publiczności.

Jak wiadomo zbiór, o którym mowa, mieści w sobie: Intermezzo, Nową wiosnę i Romanzero.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

*** W ostatnim numerze „Gazety Sądowej“ spotykamy poważną rzecz pod tytułem: „O krzywoprzysięztwie“, pzzez prof. Stanisława Budzińskiego.

*** W Rydze opuściła druk rozprawa inauguracyjna p. Teresy Ciszkiewiczównej, napisana w celu pozyskania stopnia doktora medycyny na wydziale lekarskim w Bernie, p. t. „Ueber die Gährung des schleimsauren Ammoniaks (o fermentacji śluzanu amonjaku).

Prace doświadczalne nad tym przedmiotem wykonała autorka w pracowni prof. Neuchigol.

*** Ernest Renan wydał u Calmanna Lèvy nowe dzieło p. t. „L'église chrétienne.“

*** Legonvé czytał na posiedzeniu akademji francuskiej nowe studjum literackie „Un conseiller dramatique“.

*** Dyrektor Jan Palisa w Pola i profesor Peters w Clinton odkryli po jednym nowym planecie.

Prasa perjodyczna.

*** Dwutygodnik naukowy, poświęcony archeologji, historji i lingwistyce, w zeszycie za m. Październik r. b. zawiera: I Historja i systemat języków semickich Renana, wobec najnowszych odkryć w piśmie klinowem, przez J. Radlińskiego, II Wyroby ceramiczne przez T. Ziemięckiego. III. Recenzja Wykopalisko Jarocińskie, a mianowicie monety Bolesławów czeskich, opisał Władysław Jaźdźewski, przez X. J. Polkowskiego. IV. Wiadomości.

*** P. Hovorek, tłómacz „Mazepy“ Słowackiego, powieści Kraszewskiego i kilku komedji polskich, zaczął wydawać w Pradze czasopismo miesięczne „Ruch“, w którego pierwszym zeszycie zamieścił artykuł o Kraszewskim, pełen wielkich pochwał dla naszego pisarza.

Wkrótce odczyt o uroczystościach krakowskich wygłosić ma uczestnik ich p. Tonner, w towarzystwie naukowem w Pradze.

*** W odcinku węgierskiej gazety „Hon“, redagowanej przez Jokaja. wychodzi obecnie przekład węgierski powieści Kraszewskiego „Jermoła“, tłómaczonej już dawniej na język francuski, niemiecki, flamandzki, i na kilka języków słowiańskich.

Sztuki piękne.

*** Z Krakowa piszą: Matejko przygotował trzy nowe szkice do trzech wielkich obrazów historycznych.

W olbrzymej kompozycji odsieczy wiedeńskiej dokoła króla Jana III wre zamęt bitwy, a mimo wielu figur, panuje jasność w szczegółach, wyrazistość postaci, obok charakteru miejscowości, co wszystko tworzy całość organiczną, wśród której uwydatnia się głównie bohaterska postać Sobieskiego. Toruje on sobie drogę mieczem do namiotu Mustafy. Wir bitwy nie zaciera w skupionym tłumie indywidualności osób. Widać także postacie niewiast na obrazie; są to oswobodzone branki z jasyru. W obłokach ukazuje się krzyż legendowy, przyświecający wojskom chrześciańskim.

Przedmiotem szkicu do drugiego obrazu Matejki, jest hold księcia pruskiego na rynku krakowskim. Kompozycja ta pełna powagi i spokoju, nabierze charakteru w fizjognomiach osób, podobnie jak w obrazie Stefana Batorego. Trudniej tu w samym szkicu szukać tych cech, bo dopiero dokładność wykończenia pozwoli wydobyć na jaw piękności artystyczne. Ale już teraz uderza wielka umiejętność ustawienia grup, które jest wzorowem i historycznie dokładnem.

Niezwykle wspaniałym jest trzeci szkic do obrazu, mającego przedstawiać zjazd króla Zygmunta Starego z cesarzem Maksymilianem. Jak wiadomo, wynikiem tego zjazdu miały być podwójne związki małżeńskie między dworem polskim i rakuskim. Charakterem swym odróżnia się ten szkic od wielu prac artysty, który najczęściej twarde i energiczne maluje postacie. Matejko zwykle wybiera wielkie dramatyczne chwile w historji — nieraz pełne grozy, a przedstawiając wybitnych ludzi, którzy główne w nich grali role, obleka wprawdzie te postacie purpurą, aksamitem i złotem, lecz nie pozbawia wyrazu energji. Twarze tych ludzi w większej części ogorzałe od słońca, czoła zorane myślami, fizjognomie namiętnością nacechowane. Przeciwnie, w tym ostatnim obrazie nietylko pełno złota i szkarłatów na ludziach, koniach i kolebkach, ale rozlana wszędzie miękkość i słodycz, granicząca między paradą dworską, a sielanką. Usposobieniu radosnemu ludzi odpowiada jasne, pogodne niebo i wdzięczny krajobraz. Bogactwo szat, zaprzęgów i przyborów, zlewa się, mimo świetności barw, w łagodne tony.

W dodatku nadmienić jeszcze wypada o nowym szkicu Matejki, przedstawiającym Konrada Mazowieckiego, w chwili kiedy tenże wchodzi do wieży zamku Sieciechowskiego, gdzie więzi Grzymisławę i młodego jej syna Bolesława Wstydliwego. Przychodzi on czy naigrawać się z uwięzionych, których głodem zamorzyć zamyśla, czy też chcąc wymódz zrzeczenia się tronu. Ponury ten dramat składa się z trzech wspomnianych osób.

*** Znajdujące się obecnie na wystawie w „Künstlerhausie wiedeńskim płótno Alfreda Kowalskiego „Odjazd na łowy“ zwróciło na się uwagę prasy niemieckiej.

Ranzoni mieni „Odjazd“ „realnym obrazem kostjumowym“.

*** Henryk Redlich, znokomity nasz sztycharz, który w sztuce swej nie ma dziś współzawodnika, otrzymał przed rokiem za sztych matejkowski „Kazanie Skargi“ krzyż kawalerski legji honorowej.

W tych dniach zaś ministerjum oświaty i sztuk pięknych, dziękując mu raz jeszcze za udział w wystawie paryskiej, obdarzyło artystę wspaniałą wazą z porcelany sewrskiej.

*** Głośny obraz Czachórskiego „Hamlet“ — jedno z znakomitych płócien wystawy monachijskiej, które najzaszłużeniej złotym medalem odznaczone zostało — przybył do Warszawy.

Pomieszczone ono zostanie w salonie sztuk pięknych Ungra, otworzyć się mającym za dni kilkanaście.

P. Unger prócz kompletnego zbioru obrazów Gottlieba, umieści też między innemi na sztalugach swego salonu: szkice Brandta, Kowalskiego i płótna Ajdukiewicza.

*** Gabriel Max, twórca znanej nam dobrze „Głowy Chrystusa“ (na chuście Weroniki), pracuje nad nowym obrazem w tym samym rodzaju..

Max przedstawić zamierza „Chrystusa na krzyżu“, który bliżej widziany unosi się w niebiosa...

*** Do „Künstlerhausu“ wiedeńskiego przybyły płótna Szernera i Maleckiego.

Teatr.

*** Konkurs dramatyczny poznański został w dniu 1-ym b. m. zamknięty.

Nadesłano nań następujące komedje: „Łowy na wiano“ (4 akt. wierszem) — "Szkodliwe chwasty“ (5 akt. wier.)—"Hrabia Pafnucy“ (4 akt. wiersz.)— "Ojcowizna“ (3 akt prozą) — "Genjalni ludzie“ (4 akt. prozą) — "Życie nad stan“ (3 akt. pr.)—"Zubożali“ (4 akt. pr.)—„Do czasu“ (3 akt. prozą).

Komitet sędziów wkrótce przystąpi do ocenienia wymienionych tu utworów.

*** Jan Aleksander hr. Fredro wykończył nową krotochwilę p. t. Próba przedstawienia amatorskiego“

Mówią, iż rzecz to pełna humoru i ruchu, który tyle sympatyczny autor tak celnie roztoczyć potrafił w „Posażnej jedynaczce“.

*** Stanisław Dobrzański napisał trzyaktową komedję p. t. „Żołnierz królowej Madagaskaru“.

*** P. D. Zgliński napisał jedno-aktową fraszkę dramatyczną p. t. Niezręczny.“

*** Wkrótce przybyć ma do Warszawy pani Olga Sabińska, śpiewaczka (contr-alto), znana z występów na scenach zagranicznych pod nazwiskiem „Olgi Olgini.“

Pani S. poch odzi z Kamieńca Podolskiego.

*** Sezon Poznańskiego teatru polskiego rozpoczyna się dnia 28 b. m. nową komedją Bałuckiego „Krewniaki“.

*** Nilsson wystąpi w Madrynie dwanaście razy podczas uroczystości weselnych króla Alfonsa: otrzyma ona za to 90,000 franków.

*** W Berlinie Adelina Patti wraz z Nicolinim rozpoczną z dniem 1 listopada w operze cesarskiej szereg występów gościnnych.

*** Berlinska władza policyjna wzbroniła przedstawienia komedji Laubego "Prinz Friedrich."

*** Opera amerykańska.

Dzień 25 września 1879 roku pozostanie dla sztuki amerykańskiej pamiętny na zawsze.

W dniu tym w nowojorskiej „Academy of Music“ odbyło się pierwsze przedstawienie pierwszej opery napisanej na ziemi amerykańskiej.

Tytuł tej opery „Sleepy Hollow,“ a autorem jej jest naturalizowany w ojczyźnie Franklina Czech Maks Maretzek.

Libreto opery osnute jest na tle stosunków amerykańskich.

Niewiadomo jeszcze, jak się podobała słuchaczom ta pierwsza „Orginal american opera!“

Szkoły.

⁂ Na zebraniu profesorów warsz. uniwersytetu prof. Babczyński wybrany został na dziekana wydziału matematyczno-fizycznego na miejsce prof. Jurkiewicza, który porzucił swe obowiązki; na tem samem posiedzeniu prof. Tyrchowski i Kryszka, którzy wysłużyli 25 lat, zaproszeni zostali na dalsze pięciolecie.

⁂ W tych dniach wyszedł z druku „Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok 1879".

Treść „Rocznika" stanowią rozprawy pisane przez studentów Warszawskiego uniwersytetu.

Są one następujące:

1) „O wiecach w Polsce w XI, XII i XIII wieku" przez Romana Nowakowskiego.

2) „O sądach grodzkich w ziemi łęczyckiej", przez Józefa Tomala.

3) „Fundusz Lerneta, fragment z dziejów szkolnictwa", skreślił Henryk Merczyng.

4) „Rozwój rolnictwa i przemysłu", przyczynek do stanu ekonomicznego Królestwa Polskiego przez Henryka Konitza.

5) „O zmianach, jakim ulegają mięśnie prążkowane po wycięciu, zmiażdżeniu i t. p. uszkodzeniach pewnej części odpowiedniego nerwu ruchowego", przez Henryka Pacanowskiego.

6) „Symonides z Ceosu, poeta grecki", studjum historyczno-biograficzne przez Romualda Stępowskiego.

7) „Dowód na wzór Cayley'a, służący do obliczenia różnych wyrazów wyznacznika symetrycznego", przez J. Stodółkiewicza.

8) „Rozwój praw pisanego i drukowanego słowa w zachodniej Europie (Francji, Niemczech i Anglji), szkic historyczny", przez Jakoba Lewi.

Książkę ozdabiają cztery tablice litografowane, dodane do rozprawy p. Henryka Pacanowskiego.

Po karcie tytułowej znajdujemy objaśnienia, iż książkę tę młodzież uniwersytetu ofiaruje „Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu w dowód czci i uznania dla jego półwiekowej pracy na polu piśmiennictwa".

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ W Wiedniu odbył się kongres rolniczy, do którego, jak wiadomo, dało inicjatywę galicyjskie Towarzystwo rolnicze. Zgromadzeniu przewodniczył hr. Attems; zastępcą przewodniczącego był książę Sapieha. Obecnych było 40 reprezentantów rozmaitych towarzystw rolniczych.

⁂ W Berlinie założono anti semicką ligę, mającą na celu zwalczanie wpływu izraelitów.

⁂ Agitacja anti-dzierżawcza w Irlandji z każdym dniem szersze przybiera rozmiary. W tych dniach 500 dzierżawców markiza Higo i earla Lucana odbyli w Ballinvay, niedaleko Westport, meeting, na którym zobowiązali się nie płacić czynszu dzierżawnego do czasu jego obniżenia. Również postanowiono nie brać dzierżawy dóbr, z których poprzedni dzierżawcy wskutek nieuiszczenia czynszu zostali eksmitowani, a każdego, ktoby się temu sprzeciwiał, uważać za nieprzyjaciela ludu.

⁂ Kongres stowarzyszeń robotniczych w Norymberdze powziął następujące rezolucje: 1) obowiązkowe zaprowadzenie statystyki pracy; 2) utworzenie kas ubezpieczających składki; 3) zakładanie kas pomocy dla robotników będących w podróży lub bez zajęcia.

⁂ Ze sprawozdania złożonego w izbie deputowanych przez ministra Tiszę o stanie obecnym Szegedynu okazuje się, iż do ministerstwa spraw wewnętrznych nadesłano składek ogółem 2,622,700 guldenów. Z sumy tej wydano na kupno odzieży i żywności tylko 244,000 guldenów. Pozostaje w zapasie 2,387,579 guldenów.

⁂ Rząd francuski przygotowuje projekt ustawy, mającej położyć tamę zbyt łatwej możności zakładania stowarzyszeń akcyjnych.

⁂ Willa Lamartina, położona w avenue Trocadero, którą miasto Paryż ofiarowało poecie dożywotnie, sprzedaną została na licytacji za 478,000 franków.

⁂ Pochód niebieskich bluz.

Oryginalna scena odegrała się dnia 15 b. m. w kanclerstwie skarbu w Washingtonie.

Za otwarciem drzwi gmachu, hufiec pięciuset ludzi, po większej części jaskrawo ubranych, z doboszami i piszczałkami na przedzie, wstąpił hałaśliwie do wnętrza i udał się prosto do kanclerza skarbu tamtejszego Gilfillan.

Byli to robotnicy przyjęci przez dawniejszy „Board of Public Works", którzy swoje należytości wywalczyć musieli procesem.

Sąd przyznał im sumę 20,000 dolarów.

Przy odbiorze pieniędzy pokazało się, iż mało który z robotników umie zapisać swe nazwisko.

Wielkiej liczbie z nich towarzyszyły niewieście połowice, które natychmiast garnęły do siebie monetę, obawiając się, aby jej małżonkowie nie zdeponowali w szynkowniach.

Przy wyjściu z urzędu każdy robotnik musiał włożyć pewną sumkę do puszki, którą przygotował ich adwokat, celem uzbierania sobie nagrody za szczęśliwie poprowadzony proces.

⁂ Epidemja pojedynków.

Dzienniki paryskie donoszą:

Epidemja pojedynków z motywów politycznych szerzy się tu ciągle z wzrastającą werwą.

W tych dniach znowu na granicy hiszpańskiej bił się hrabia Sombreuil z hrabią Barante, przyczem ostatni otrzymał pchnięcie w ramię.

Jednocześnie zaś na granicy belgijskiej p. Disteron, urzędnik rady stanu, dostał pchnięcie szpadą w szyję w pojedynku z radcą jeneralnym departamentu du Nord, panem Alain Chartier.

Wynalazki i odkrycia.

⁂ Doświadczenia czynione w Londynie, wykazały że brzmienie głosu ludzkiego z trybuny, ambony itd. znakomicie wzmocnić można przez umieszczenie w różny punktach sali lub kościoła blach stalowych, lekko nagiętych.

Podobnež blaszki zawieszone dokoła fortepianu nadają mu ton o wiele silniejszy i przyjemniejszy.

⁂ Magazyny oziębiania. Ogromny budynek sześciopiętrowy w Bostonie należący do Towarzystwa chemicznego oziębiania, zawiązanego w stanie Massachusetts, został zaopatrzony w maszynerję służącą do chłodzenia powietrza i rozdzielania oziębionego po salach przeznaczonych na przechowywanie materjałów pokarmowych. Jako czynnik chemiczny do oziębiania służy amoniak, używany również przy robieniu lodu w Stanach południowych. Urządzenie owych wielce ciekawych magazynów tak opisuje „Przyroda i Przemysł."

Po najmożliwszem zabezpieczeniu budynku od zmian atmosferycznych zewnętrznych, powietrze wyciągane jest z niego przy pomocy potężnych pomp ssących, oczyszczane, przesyłane do przyrządów oziębiających, a następnie napowrót do izb budynku. Tym sposobem ulega ono ciągłej odnowie, staje się czystem, zimnem i suchem. Wspomniony budynek przedstawia 94,000 stóp sześciennych objętości, z czego 80,000 stóp mieści w sobie 10,000 skrzynek masła, 300 beczek wołowiny, 650 skrzynek wieprzowiny; 3,500 tuzinów jaj, 7,800 funtów suszonych jabłek i około 50 centnarów sera. — Produkta te są najrozmaitszego pochodzenia i stanowią własność różnych kupców.

Podobne refrygeratory zakładają już w wielu głównych ogniskach handlowych, zkąd całe pociągi wagonów w podobnyż sposób oziębianych dowozić będą materjały pokarmowe do również oziębianych parowców.

⁂ Oświetlenie wodospadu Niagary elektrycznością nie przestaje ściągać licznych podróżnych. Gra kolorów wywołana tem oświetleniem czyni uroczy efekt. Z tarasu Prospect-parku spadające bałwany robią wrażenie lawy purpurowej, błyszczącej tysiącem odcieni barw. Efekt ten magiczny da się porównać tylko z fosforescencją oceanu przed burzą nocną.

Podróże.

⁂ W tych dniach gościł w Warszawie oficer marynarki p. Prosiński, który odbywał kilkuletnią wyprawę naukową na okręcie „Wsadnik".

Jak wiadomo „Wsadnik" okrążył szczęśliwie świat cały!

Z podróży tej p. Prosiński przywiózł zbiór fotografij — jedyny w swoim rodzaju, z którego poznać można wybornie życie publiczne i domowe ludów wschodnich.

Fotografje przedstawiają nietylko krajobrazy i typy, ale sceny z życia, obrzędów i igrzyska ludów. Indje, Chiny, głównie zaś Japonja są tu najdokładniej schwytane.

Fotografje niezwykle wyraziste zdjęte były przez Anglików, podnieśli je bardziej jeszcze misternem kolorowaniem japońscy artyści.

Słyszeliśmy, iż cały zbiór (1,000 kartonów), wartościowy tak pod względem naukowym jak i artystycznym, wystawiony będzie w salonie sztuk pięknych Ungra.

⁂ Do portu Hammertest zawinęła szczęśliwie holenderska wyprawa polarna pod dowództwem kapitana Willem Barensa; dotarła ona była aż do odkrytego przez Weyprechta i Payera kraju Franciszka Józefa.

Handel i przemysł.

⁂ W Berlinie, w kwietniu roku przyszłego odbędzie się wystawa rybacka; z wystawą połączone zostanie otwarcie nowego muzeum gospodarskiego, w którego salach ma być pomieszczona wystawa. Następne działy będą reprezentowane na wystawie: 1) zwierzęta wodne; 2) rybołówstwo; 3) sztuczna hodowla zwierząt wodnych; 4) przyrządy do przechowywania i przesyłki zwierząt wodnych; 5) przyrządy do wyrabiania produktów rybołowstwa; 6) modele domków, kostjumów rybackich i t. p.; 7) badanie wód pod względem stanu rybnego; 8) historja rybołowstwa; 9) literatura i statystyka rybołowstwa.

⁂ Ceny żelaza w Middlesbrough ciągle idą w górę. Wiara w poprawę interesów zyskuje coraz większe podstawy. Zażądania żelaza niemal się potroiły.

⁂ Według *Journal officiel*, w ciągu dziewięciu miesięcy b. r. importowano do Francji towarów za sumę 3,402,056.000 franków, a z kraju wywieziono za 2,277,080.000 franków.

Komunikacje.

⁂ Dnia 15. listopada otwarty zostanie w Poznaniu dworzec centralny.

⁂ Wkrótce budowaną być ma drugorzędna kolej z Bydgoszczy do Rogoźna.

⁂ Dokonano ułożenia drutu telegraficznego z Baku (zachodnia strona morza Kaspijskiego) do Krasnowodzka (wschodnia strona morza Kaspijskiego); telegraf funkcjonuje regularnie.

⁂ Tunel św. Gotarda ukończony będzie około lutego 1880. Obecnie zajętych tam jest dziennie 2.600 robotników. Z początkiem ubiegłego miesiąca wydatki sięgały cyfry 42 miljonów.

Zjawiska przyrody.

⁂ Z Węgier. Dnia 10. b. m. o godz. 4 min. 28 dały się czuć w Orsowie silne wstrząśnienia podziemne, które postępowały falą i którym towarzyszył osobliwszy łoskot. Zjawisko można było obserwować bardzo dobrze na pierwszem piętrze, silnie zbudowanego budynku, w którym się znajduje stacya telegraficzna. Igły magnesowe objawiały charakterystyczne drzenie, a słup rtęciowy w barometrze wibrował dziwnie na swej powierzchni, co trwało 10 do 12 sekund. Tak długo trwało też trzęsienie, które się posuwało falą ze wschodu na zachód. Około tegoż czasu jeszcze silniejsze trzęsienie nawiedziło okolice miejscowości Moldowa, Drenkowa, Baziasz i Karlsdorf. Tegoż dnia pomiędzy godz. 8 a 9 ponowiły się w Orsowie trzęsienia, postępujące znowu falą ze wschodu na zachód. I te trzęsienia doszły w Moldowie i Drenkowie, do takiej siły, że pozawalały się tam kominy i sufity, popękały mury, a przerażeni mieszkańcy uciekli z domów i całą noc przepędzili pod gołem niebem. Nad ranem dnia 11. b. m. o godzinie 3 minut 39, jeszcze raz dało się czuć w Orsowie gwałtowne wstrząśnienie, albo raczej uderzenie podziemne, po którem przez 30 sekund drżała ziemia falowato. Temu ostatniemu trzęsieniu towarzyszyły oryginalne trzaskania i pryskania, jakie wydają machiny parowe będące w ruchu. Drzenia igły magnetycznej i wibracja słupa rtęciowego w barometrze były jeszcze wyraźniejsze, niż podczas poprzedniego trzęsienia. I to trzęsienie rozciągało się aż na Drenkowę, Mołdowę, Karlsdorf, Węgierskie Biało Kościoły i t. d. W ciągu 12 godzin naliczono przeszło 20 wyraźnych wstrząśnień, z których cztery były bardzo gwałtowne.

W Biało-Kościołach zarysowało się wiele budynków, popękało mnóstwo szyb, zegary stanęły, obrazy pospadały ze ścian, a sprzęty w pokojach zostały przesunięte. Wiele kominów spadając, przebiło dachy, a nawet powały tak, że rumowisko dostało się do mieszkań. Z ostatniem trzęsieniem, które było najsilniejsze, kilka domów całkiem się zawaliło. Mieszkańcy wszędzie noc całą biwakowali w polu, obawiając się powrócić do wstrząśniętych z gruntu domów. Budynki szkolne, mianowicie gmach gimnazjalny w Biało-Kościołach mocno ucierpiały, musiano je więc czasowo zamknąć. Przed trzęsieniami panował silny wiatr, który sprowadził deszcz. — W Drenkowie uszkodzone zostały wszystkie budynki Towarzystwa żeglugi na Dunaju. Nawet przechodnie na ulicach czuli tam chwianie się ziemi pod nogami. Wszystkie zresztą doniesienia zgadzają się w tem, że najsilniejsze było trzęsienie ostatnie w sobotę. — Z dalszych doniesień okazuje się, że trzęsienie rozciągało się nietylko na większą część Węgier, ale także na Siedmiogród, Moldawię i Wołoszczyznę, a nawet na Besarabię. Należało więc niewątpliwie do największych w tem stuleciu.

⁂ *Daily News* pomieszcza telegram z Madrytu: „Orkan z ulewnym deszczem spowodował powodzie prowincyj: Andaluzji, Micante, Murcja i Malagi. W dolinie, ciągnącej się wzdłuż gór Murcias nad brzegiem Sigury, woda wciskająca się do niższych części zabudowań wywołała powszechny popłoch. Rzeka ta i jej przypływy zniszczyły kilka wsi, linję drogi żelaznej Orilinela-Lorca-Murcia. Wiele znacznych wsi i stacyj kolejowych stało przez dwa dni pod wodą. Z Murcia donosi gubernator, iż strata w ludziach przenosi liczbę 300. Szkody powstałe w dolinie mającej około 124 mil, nie dadzą się nawet w przybliżeniu ocenić. Telegraficzne połączenie Madrytu z Murcią, Kartaginą i Alicantem jeszcze ciągle szwankuje. Komunikacja kolejna wstrzymana...

LEA.

W tych dniach skończyła swe dni w Paryżu jedna z tych koryfejek zmysłowego szału w „nowym Babilonie“ z doby Cesarstwa, które z niem wyrosły i... upadły.

Niegdyś spotykano Leę codziennie w lasku bulońskim w powozie, jasno-błękitną materją wybitym, w jasno-błękitnej sukni, takimże kapeluszu i rękawiczkach — wyglądała, jak modra toń oceanu — rozkoszy...

W ostatnich dniach pokazywała się co wieczór w małej kawiarni przy bulwarze Clichy, gdzie miała swój ulubiony absynt; piła go mnóstwo — złorzecząc rzeczypospolitej!

Nie była to zwyczajna awanturnica; zostawiła nawet swe pamiętniki dostępne jednakże tylko jej „przyjaciołom“; pierwsza stronica nosi znane godło: „wszystko poznać, znaczy, wszystko przebaczyć“.

Lea była najmłodszą z trzech sióstr, które wychowały się w największej nędzy i niedostatku; nie zawahały się jednak użyć wszelkrch dróg i środków, ażeby zhołdować sobie fortunę

Najstarsza wśliznęła się do domu bogatego właściciela dóbr, który ożenił się z nią potem; druga znalazła to, czego szukała, w osobie sędziwego dygnitarza wojskowego, który niebawem po wziętym z nią ślubie umarł, zapisując jej rentę roczną 100.000 fr.; trzecia Lea, poszła za skłonnością serca; w podróży poznała ona romantycznego Niemca i nakłoniła go do rozwodu z żoną, którą porzucił wraz z dwojgiem dzieci na pastwę nędzy,

Udała się z nim do Paryża, poślubiła go i poczęła — nudzić się...

Romans skończył się — ambicja wzrosła.

Niemiec był dzielnym mechanikiem i został niebawem głównym ajentem pewnego dostawcy materjałów dla armji — to nie zadawalniało Lei.

Biegała ona od ministra do ministra, płaciła gdzie mogła, wysilała się na układne słowa, milczała, gdzie tego było potrzeba; dosyć, że mąż jej został dyrektorem cesarskiej fabryki broni w jednem z miast prowincjonalnych.

Przez pewien czas wystarczało to jej próżności; przyjmowała miejscowych dygnitarzy, rozdzielała łaski, protegowała, intrygowała, podnosiła i strącała...

Ale czyż taka kobieta może zaaklimatyzować się na prowincji?

Miała dopiero lat 30, jeszcze zawsze olśniewająco piękna, gdy pewnego dnia cisnęła o ziemię tom Balzaca, który trzymała w rękach, obejrzała się raz jeszcze na siebie i pobiegła do pracowni męża, aby mu powiedzieć, że sytą jest małżeństwa i że punkt ciężkości jej życia jest w Paryżu — że potrzebuje życia na wielkim swiecie...

I tak pociągnęła ku Paryżowi.

Pierwszym, króry jej ułatwił stosunki w stolicy był znany książe B...

„Podobał mi się“ — mówi pamiętnik — „ponieważ był wolnym od wszelkiej przesady, która śmiesznym robi człowieka; nie chełpił się uczonością, nie plótł frazesów, nie wzruszał sentymentalizmem, nie czuł skruchy: „la vie et l'esprit pur et simple“.

Miał oryginalne pomysły i umiał sobie zarówno, jak przyjaciołom, uprzyjemniać życie, jak tylko można.

Pamiętam jeszcze wesoły obiad który wydał dla swoich przyjaciół.

„Na końcu jego wniesiono olbrzymi półmisek; po wielu uciesznych przygotowaniach podniesiono do góry pokrywę i pod osłoną zielonych liści — leżałam ja...

„W rok potem odwiedził mię mój mąż.

„Szkoda! za głupi był, aby zażądać praw małżonka i zabrać mię ze sobą choćby przemocą.

Od tej chwili nienawidziłam go...

„Nie rozumiał kobiety, którą posiadał; byłabym inaczej z nim nie zerwała.

„Nie widziałam go nigdy więcej, gdy wojna wybuchła, musiał wraz z innymi Prusakami uchodzić z Francji.

„Nie był to człowiek dla mnie“.

Tyle z nieznanych „pamiętników“ Lei...

W dniu pogrzebu znalazło się kilku jej starych przyjaciół w szpitalu.

Urządzenie jej izby było tu bardzo skromne, a jednak znać w niem było kokieterję.

Gzyms kominka zdobiły prawdziwe fajansy; nad łóżkiem wisiał portret księcia B. z jego wszystkiemi orderami.

Na stoliku obok łóżka leżały otwarte „Wyznania“ Roussa z uwagą, dopisaną jej ręką.

Lea miała trochę więcej duszy od innych

Była rozumniejszą od nich i o tyle — gorszą; znała siebie i tem srożej zgrzeszyła.

Zdawało jej się, że zna życie, a znała tylko występek, któremu dworowała; była sofistką rozpusty.

Ale historja jej pozostanie ciekawym przyczynkiem do owej wielkiej księgi cywilizacyjnego dorobku cesarstwa którego ostatnią kartą był — Sedan...

WOJNA W POŁUDNIOWEJ AMERYCE.

(Według listu Ignacego Domejki, rektora akademji chilijskiej).

„Jesteśmy tu w wojnie z Peruwią i Boliwią, a tylko w zawieszeniu nieprzyjaznych stosunków z Argentynami.

Wojna szczególna, niepodobna do naszych, choć opatrzona w europejską morderczą broń, bo na pustyni i po za skalistemi brzegami na morzu.

Kraje te młode były zamożne, szczęśliwe, wolne; ale patrząc na to, co się dzieje, rzekłbyś, że młode państwa potrzebują, szukają od czasu do czasu wojny, bardziej niż pokoju; nudzi je ciche, jednostajne powodzenie.

Pobudzony rząd chilijski od swoich sąsiadów do nieprzyjacielskich kroków, mógłby może z początku wstrzymać się od nich, szukając zgody, bo chodziło o saletrzane kopalnie, położone o przeszło trzysta mil ztąd, na pograniczu chilijskiej pustyni Atacam z boliwijską tejże natury, a kraj był zadłużony, nieprzygotowany do wojny zaczepnej, ale jakaś moc niezbadana popchnęła Chilijczyków do niej.

Mają oni flotę silniejszą od peruwiańskiej i dwa wielkie parowce pancerne, wiele mniejszych wojennych, działa trzystofuntowe, dobrych oficerów i żołnierzy morskich, ale niepodobna opanować, zabezpieczyć, blokować długie na kilkaset mil brzegi Peruwji i Boliwji i kiedy chilijska eskadra posuwa się na północ, z tyłu jej na południu pojedyńcze okręty peruwiańskie szkodzą i opatrują w żywność swoje portowe miasta.

Dnia 21. maja, kiedy cała flota chilijska zajęta była blokowaniem Callao, dwa wielkie okręty pancerne peruwiańskie „Huascar“ i „la Independencia“, jeden o 1.200 tonnach z żelazną wieżą opatrzoną z wierzchu i po bokach grubym na $4^1/_2$ cala pancerzem i 300 funtowemi działami, drugi większy o 2.520 tonnach z grubszym jeszcze pancerzem i silniejszą artylerją, uderzyły na dwa drewniane chilijskie statki w porcie Iquique; z tych jeden „Esmeralda“, stary, z 60-funtowemi działami, które nie mogły dziurawić owych pancerzy, zaledwie 2 do 3 mil na godzinę; robiący drugi „Cowadonga“ mniejszy, ale chyży, wzięty lat temu kilka na Hiszpanach (noszący imię cudownego obrazu M. Boskiej w Cowadonga) miał parę dział o 150 funtach.

Za tym ostatnim popędził zaraz większy pancernik „Independencja“; „Huascar“ zaś stanął do boju z „Esmeraldą.

Ale jakiż to bój!

Z jednej strony zamknięty pancernik, pochowani jak w trojańskim koniu ludzie, wieża miotająca trzystofuntowemi kulami od 8ej do 12ej; z drugiej na owej drewnianej odkrytej fregacie trzystu młodych żołnierzy, walczących w ustawicznym ogniu przez cztery godziny, chociaż ich kule zaledwo dochodziły do „Huascara“ i slizgały się jak piłki po jego pancerzu.

Daremnie „Huascar“ wywiesza chorągiew, aby się poddali, a widząc „Esmeraldę“ uchodzącą, już prawie dogorywającą, uderza w nią swoją potężną ostrogą; w tej chwili młody jej dowódca woła ua swoich: „za mną bracia“! i rzuca się sam, bo inni nie pospieszyli na pokład żelazny „Huascara“, gdzie śmierć chwalebną znajduje.

Odskoczył „Huascar“, a widząc, że ogień „Esmeraldy“ nie ustawał, uderza powtórnie swojem ościeniem w drewniany, nieopancerzony okręt.

Za tem powtórnem uderzeniem zdołał wskoczyć na zamknięty pancernik waleczny oficer Serrano z dziesięciu ochotnikami, wyzywając nieprzyjaciela; wszyscy zginęli.

Odleciał w tył „Huascar“, jakby przestraszony heroizmem chilijskim; ale po chwili rzuca się po raz trzeci swojem ościeniem na tonącą fregatę, na której już zaledwo 40 ludzi zostawało przy życiu, rozbija ją i zatapia.

Cóż się dzieje w tej chwili z „Covadonga“, którą już miał w swych szponach olbrzymi pancernik „Independencja“? oto ów pancernik uderza o podwodne skały i rozbija się. „Covadonga“ uchodzi; Peruwja traci z całej floty najlepszy, najmocniejszy okręt.

Oto masz jeden epizod z tej nieszczęsnej wojny, która rujnuje trzy republiki, a zasiewa zemstę i nienawiść na przyszłość.

Tymczasem wojska lądowe oddzielone od siebie stumilową, bezdenną pustynią, gotują się do boju: 14 tysięcy Chilijczyków w Autotagasta (24° szer. geogr.), drugie tyle, a zapewne więcej Peruwiańców i Boliwiańców w Iquique i Tacna (18° — 20° szer. geogr.) mustrują się z dobrą bronią.

Trudno przewidzieć, kto się pierwszy poruszy, bo nie łatwa sprawa prowadzić wojnę na pustyni, na której niema pragnienia gdzie ugasić, ni obmyć ran, a cóż dopiero konia napoić?

Straciłby tu najlepszy taktykę, Moltke nawet, nieporadziłby Napoleon.

Z tem wszystkiem godne jeat podziwienia, co się tu dzieje z powodu wojny.

Poświęcenie, czynność, ruch we wszystkich stanach.

Kraj, który w czasie pokoju mało co więcej nad tysiąc żołnierza liczył, ma teraz porządne wojsko, broń wyborną, liczną artylerją w portach i polową, ambulanse, okręty.

Ludzie spokojni, co tylko na sejmikach niekiedy rozgrzewali się, a zajęci byli rolą, przemysłem, kopalniami, dziś w mundurach, przy szabli, z karabinami; ustały partje, złagodniała prasa, nawet na błędy administracyjne i słabość, czy nieudolność władz z pobłażaniem patrzy.

Wiele, wiele moglibyśmy z tego nauczyć się.

Kiedy się pomyśli, że kraj ten, co mało więcej liczył ludności przed 40 laty od naszej dawnej gubernji wileńskiej ze Żmudzią, a zapewne mniej ma od niej sposobnego do rolnictwa gruntu, posiada dziś wielką eskadrę, wojsko, izby prawodawcze, poselstwa przy dworach, ogrom kościołów i pałaców nowych i t. d., a to wszystko z woli Bożej, przy wierze, umiarkowaniu, porządku, z samorządem i wolnością rozumu, to się wiele od niego nauczyć można, choć ludzie też same słabości mają co my i Francuzi, a niemniej są butni i zarozumiali“...

Treść Nr. 40.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.